Nr. 42 (1138). Warszawa, 5 (18) Października 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

BARABASZE WĘGIERSCY.

Sejm węgierski sprawił sobie nowy przybytek. Dnia 8 b. m, zebrał się w nim po raz pierwszy. *Genius loci* nie wpłynął na geniusze ludzkie. Gmach nowy, ale mózgi dawne. Izba poselska pozostała sobie wierną. Zaledwie posłowie mieli czas rozejrzeć się po sali i pozajmować swe miejsca, kiedy podniósł się z ław niezawisłości pan Bela Barabasz i zażądał głosu. Uderzył odrazu w surmę bojową. Konstytucya wprawdzie jest — huknął — ale tylko na papierze, nie w życiu; praktyki rządowe ciągle ją gwałcą, a korona rządowi dopomaga. Nawet prawo pozakonstytucyjne nie jest ani dla rządu, ani dla korony świętem: ustawicznie je poniewierają. Najświeższym takim czynem jest wyrok w sprawie Morskiego Oka. Rząd sam go nie wydał, ale rząd go sprowadził. Razem z Morskiem Okiem wyrwano Węgrom kawał mięsa z żywego ciała. Gdy chodzi o ugodę, konstytucya zna tylko ministrów obu połów, do ułożenia jej i zaprojektowania obu sejmom powołanych; wbrew temu p. Gołuchowski, minister niepowołany, wtrąca się do rokowań między Szellem i Körberem i wywiera niekonstytucyjny nacisk. Rząd węgierski naciskowi temu ulega.

Czy wszystko już? Nie. Jakby wyglądała niezawisłość bez Kossutha? A więc: zarówno rząd, jak korona postąpiły bezprawnie, uchylając się od uroczystości setnej rocznicy; krzywd jest tyle, że czas już wielki ogłosić niezawisłość Węgier od dynastyi habsburskiej, od Austryi; Austrya dąży do zniszczenia Węgier, a w tem dążeniu widać również wolę cesarza, jak widać ją w nacisku wywieranym przy ugodzie itd. Gdy przy tych słowach prezydujący przywołał Barabasza do porządku, powstała w stronnictwie ultra-radykalnem niesłychana wrzawa: krzyki, wycia, wymysły, walenie w pulpity — za przykładem przeczystego trybuna ludowego, Wolffa. Posłowie porywają się z miejsc, lecą ku estradzie prezydyalnej, wygrażają pięściami, wrzeszczą w niebogłosy, a wrzask ten zwierzęcy, przetłomaczony na mowę ludzką, streszcza się w twierdzeniu, że w Peszcie wolno ubliżać cesarzowi austryackiemu, byle nie ubliżyć królowi węgierskiemu. Ponieważ w ciągu tego popisu rozumów Szell, broniąc bezstronności cesarza-króla, wyrzekł był, że mniejszość musi się poddać większości, przeto Barabasz w imieniu tej mniejszości zapowiada, że nigdy nie pozwoli ona na ugodę; Szell powinien zerwać rokowania, a jeśli nie zerwie, mniejszość użyje wypróbowanego już w Europie środka — obstrukcyi. Dwadzieścia razy rozwiązana, Izba dwadzieścia razy powróci w tym samym składzie, z tą samą mniejszością i tą samą obstrukcyą. Niema gabinetu, niema władzy, niema potęgi, któraby przeszkodziła lewicy zrobić co zechce.

Temperamentu temu Barabaszowi odmówić nie można: starczy mu go na bezdenną nawet głupotę. Całe jego wystąpienie jest tańcem św. Wita. Wyrok w sprawie Morskiego Oka zapadł w sądzie, na który zapisał się uroczyście sam sejm. Miotanie się o ugodę jest zupełnem waryactwem, jeśli nie żakostwem. Mądry obrońca praw narodowych opiera się tu o wątłe słomki pogłosek i nie umie przytoczyć ani jednego faktu, któryby dowodził stronności cesarza lub hr. Gołuchowskiego za Austryą przeciwko Węgrom, bo faktu takiego niema. Pretensya o uroczystości kossutowe uderza swą dzikością: cesarz austryacki nie jest wyrazem, symbolem, manekinem: jest człowiekiem; kazać mu czcić pamięć tego, który go z tronu zrzucił, jest to poniewierać prawa człowieka. Wszystkie długi względem Kossutha spłacił ten, kto narodowi jego przywrócił swobody dawne i nadał jeszcze nowe, pozwalające tym, którym tronów nie wydzierano, składać publiczną, jawną, niczem nietamowaną cześć człowiekowi zasłużonemu wobec narodu. Wszystkie ogólniki o gwałceniu prawa i konstytucyi węgierskiej przez cesarza austryackiego byłyby wręcz kłamstwami, gdyby szał mógł być odpowiedzialnym za swe słowa i czyny. Gwałci wprawdzie konstytucyę i prawa sam rząd węgierski, ale nie w dążności i w celach przez Barabasza piętnowanych: gwałci je na uciemiężanych Słowakach, Rumunach i Serbach; a nie szanuje ich należycie i względem Niemców w Siedmiogrodzie.

Takich Barabaszów, jak ten Bela Barabasz, jest na Węgrzech mnóstwo. Temperament narodowy sam ich z siebie wydaje. Z tym temperamentem wprawdzie tysiąc już z górą lat naród ten przeżył, ale przez ten temperament zginąć też może. Mroczy mu on rozsądek, gasi tak rzadko pojawiający się w dziejach rozum stanu. Niezawisłość zupełna jest pięknym ideałem dla tych tylko, którzy są w zupełnej zawisłości; kto znalazł się w takiem położeniu, jak Węgry, ten idealizmu odrębności na zawsze wyrzec się powinien. W konkretnych warunkach konkretne też prawdy wyrabiać sobie potrzeba na gwiazdy przewodnie w polityce. Naczelną taką prawdą jest niemożność istnienia Węgier bez Austryi, po za zbiorowością krajów „Austryą" na-

zwanych. Ani położenie geograficzne, ani budowa wewnętrzna, ani same tradycye historyi nie pozwalają Węgrom na inny byt, prócz jedynego — współistnienia z Austryą. Oderwane od Austryi, Węgry są bez granic politycznych. Pozostawione samym sobie, znalazłyby się odrazu u siebie wobec żywiołów wrogich słowiańskich, rumuńskich i niemieckich. „Węgry“ są tylko wyrazem, jeśli mają oznaczać coś jednolitego. W r. 1900 na 16,653,322 m. było tylko 8 mil. Węgrów — według statystyki urzędowej, mającej przecież inną arytmetykę dla Słowaków, a inną dla synów Arpada. W razie oderwania się od Austryi, Kroacya jednej chwili nie pozostałaby w związku. W sąsiedztwie, z Rumunią, z potężnem mocarstwem rosyjskiem, z cesarstwem niemieckiem po rozbiorze Austryi, Węgry byłyby ze wszech stron obskoczone, a wewnątrz walkami narodowemi szarpane. Nie odrywanie się zatem od Austryi, ale przeciwnie trzymanie Austryi przy sobie powinno być prawdą żywotną Węgrów. Jeśli nie chcą usłuchać rady Bismarcka i przenieść stolicy Austro-Węgier do Pesztu, niechaj ruszą na Wiedeń, niech strącą dzisiejszą dynastyę a osadzą nową, swoją własną, niech ukrócą tę lub ową narodowość, która im się niepodoba; niech rozlewają potoki krwi, palą na stosach, burzą i niszczą, co im przeciwnem będzie: byle tylko to, co się monarchią austryacko-węgierską nazywa, w całości utrzymali. Jeśli tego nie dokażą, lub jeśli własnowolnie całość przez oderwanie się swoje zburzą — grozi im zagłada. Widział ją Deak i dlatego pogodził się z Austryą. Deaków dziś Węgrom, a nie Barabaszów potrzeba.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Koloswarze siedmiogrodzkim (Klausenburg) d. 12 b. m. zawołano Szellowi „Pereat.“ Chodziło o hymn cesarsko-habsburski, zagrany — nieprzyzwoicie — przez orkiestrę na cześć Macieja Korwina, którego pomnik odsłoniono. Cesarza austryackiego zastępował arcyksiążę Józef-August: błąd tem większy.

Rada państwa w Wiedniu zwołana na d. 16 b. m. Körber nie przygotował dla niej ugody już ze wszystkiem ustalonej, ale przygotował dla Czechów prawo o języku urzędowym: z władzami wojskowemi, z ministeryami, z innymi krajami po niemiecku; również we wszelkiej rachunkowości, kasowości i na poczcie; w okręgach (powiatach) mieszanych, gdzie jest przynajmniej 20% innojęzycznych — do woli stron; w okręgach niemających 20% panuje język większości, ale wszyscy urzędnicy muszą władać obu językami. W Morawii panują współzawodniczo z sobą oba języki. Czesi zaczynają się oburzać na taki układ stosunków.

Ruch w Macedonii w ubiegłym tygodniu był już niepokojącym dla Turcyi. Wiele jest przesady, ale niewątpliwie oddziały bulgarskie, choć słabe, na pojedynczych punktach usiłują wzniecić powstanie. Turcya gromadzi wojsko na pograniczu i chroni się pod skrzydła dyplomacyi, która milczy.

Cesarz Wilhelm wydał 28 artykułów regulaminu wojskowego, w którym, zalecając łagodne obchodzenie się z żołnierzem, motywuje ten nakaz potrzebą nieponiżania „zaszczytnego zawodu żołnierskiego,“ a nie prawami człowieka od zawodu nieskończenie głębszemi i wyższemi. Artykuły mają być znane żołnierzom, a dla lepszego skutku cesarz nakazuje przetłomaczyć je na języki: polski, litewski, francuski i duński. Pastwienie się pomimo artykułów nie ustanie, bo żądzę jego ma w sobie pięść pruska.

Generałowie boerscy zawitali d. 12 b. m. do Paryża; 100,000 ludzi wylęgło na ulice. Policya była tak lojalną, że za jedno *à bas* aresztowała jakiegoś chłopczynę. Dano wędrowcom prócz stu tysięcy okrzyków— 75,000 franków uzbieranej jałmużny. D. 17 b. m. mieli być generałowie w Berlinie, po wzajemnych wyjaśnieniach i wykrętach, z których jednak widać, że cesarz Wilhelm zamierzał początkowo przyjąć gości bez pośrednictwa posła angielskiego.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Francyi.

Paryż, 10 października.

Śmierć i pogrzeb Zoli. — Znaczenie społeczne jego działalności.

Niespodziewana i gwałtowna śmierć Zoli była bolesnym ciosem nietylko dla jego przyjaciół i świata literackiego, ale i dla całego ludu roboczego. Pomimo rozmyślnych fałszów i kłamstw prasy gadzinowej, już zaraz nazajutrz warstwy pracujące składać zaczęły obficie oznaki hołdu, czci i uznania dla swego piewcy, obrońcy i mistrza. Uniwersytety ludowe, stowarzyszenia współdzielcze, związki zawodowe, giełdy pracy urządzały umyślne zebrania dla wystosowania gorących adresów i pobudzenia leniwszych towarzystw do wystąpienia na pogrzebie w zwartym szeregu. Paryska giełda pracy odezwę swą rozpoczyna wymownym okresem: „Zważywszy, że Żola przyczynił się do oświaty klasy robotniczej, jako też do tryumfu prawdy i sprawiedliwości; zważywszy, że już w dwóch pierwszych swych „ewangeliach“ (jest to tytuł ogólny ostatniego jego cyklu powieściowego), odtwarzając teraźniejszy stan społeczeństwa i to, co siłą rzeczy musi po nim nastąpić, wyraził, czem ono być powinno; zważywszy, że we wszystkich swych dziełach starał się zbudzić i rozwinąć poczucie prawdy, sprawiedliwości i solidarności; zważywszy, że przez to wyniósł on najwyżej sztandar człowieczeństwa we współczesnej epoce i że lud pracujący umie ocenić i żywić wieczną dzięczność dla tych, co go oświecają“ itd. — tu następują żądania i wnioski. „Liga praw człowieka,“ założona podczas sprawy Dreyfusa i dotychczas broniąca skazanych niesprawiedliwie, natychmiast po śmierci Zoli zaczęła zbierać składki na jego pomnik, wpływające obficie i od najbiedniejszych, i dziś już, gdy minął zaledwie tydzień, fundusz stąd powstały dosięga 30,000 fr.

W znacznej części za sprawą ludu pracującego odłożono pogrzeb do niedzieli. I był on istotnie ludowy. Dziesiątki tysięcy pracowników, ubranych świątecznie, z godłami na piersiach, z niezliczonymi wieńcami, w spokoju i ciszy ciągnęły szerokim szpalerem na cmentarz Montmartre. Z daleka rzucały się w oczy olbrzymie i wspaniałe wieńce żywych kwiatów od dziennika *L'Aurore* i od „Ligi praw człowieka“ z napisem: „wielkiemu obywatelowi.“ Wśród delegacyj zwracała uwagę powszechną przysłana z prowincyi, a złożona z górnika, kowala i rolnika w ubiorach robotniczych, nieśli oni snop zboża i kwiecia polnego. Po przemówieniach podniosłych ministra oświaty Chaumié'go, prezesa Towarzystwa literackiego A. Hermant'a i porywającej mowie Anatola France'a, który przypomniał głośne wypadki z 1898 roku, tłum w grobowej ciszy, z odkrytemi głowami, defilował koło trumny pisarza, rzucając na nią kwiaty. A nie było to zbiorowisko ciekawych i żądnych wrażeń gapiów, ci bowiem poszli na Longchamps, na wielkie wyścigi jesienne, na które nacyonalistyczna rada miejska ofiarowywa corocznie 100,000 fr. Nie była to również nieu-

---

KAZIMIERZ LEWANDOWSKI.

OSTATNI PACYENT.

Wózek czekał przed gankiem, prosty, półkoszowy wózek; zamiast siedzeń — dwie wiązki słomiane.

— Nie, dziś już ojcuś nigdzie nie pojedzie!

Obstąpiliśmy go kołem, jedno całowało w rękę, drugie rzuciło się na szyję. Matka stała z boku i prosiła pokornie:

— Zostań, mój drogi, powietrze okropne, a tyś przytem zaziębiony.

Prosili tak serdecznie, najmniejsza córeczka miała łzy w oczach.

Powietrze istotnie było straszne.

Luty, chwilowa odwilż, deszcz i wiatr siekący.

A przytem rzeczywiście czuł się niezdrowym.

Ostatniej nocy wyjeżdżał do chorego i zaziębił się.

Operacya była męcząca, pokój bardzo ogrzany, na dworze mróz, on derek wziąć zapomniał.

Ba, dawniej, był młodszy.

Ale dziś — siedemdziesiątka na karku. To nie żart.

A jednak — odmawiać — niepodobna. Przysięgał.

Tu cała rodzina poczęła prosić.

— Ale zdrowie, zdrowie, ojczulku!

— No, tak źle się nie czuje, zresztą to tylko milka.

— Nie, nie pozwolimy, nigdy!

I nie pozwolili. Cóż robić. Człowiek ma serce, a takie maleństwa, jak się uprą, to ani sposób odmówić. I ona, jego droga, tkliwa pani, milcząco a również wymownie prosiła.

Odprawił wózek.

* * *

Mijał wieczór i noc nastawała.

Rodzina kładła się do snu.

On jeszcze w swej pracowni palił światło i czytał.

Wreszcie nastała cisza, wszystko usnęło.

Nie miał chęci do spoczynku.

Chory nie wychodził mu z głowy.

Znał go oddawna, był pod jego opieką. Po innego lekarza nie pojadą.

Choroba ciężka, trudna, sami nie poradzą.

Nigdy nie odmawiał nikomu, całe życie. Blizko pięćdziesiąt lat.

Nikomu, nikomu nigdy.

Dziś odmówił.

To mu nie dawało spokoju.

Wstał, chodził po gabinecie niespokojny, pełen wyrzutów.

Było mu źle, zdawało mu się, że popełnił występek, że postąpił niegodnie, cała przeszłość zdawała się go oskarżać; podniosła misya uzdrowiciela odzywała się w nim nieubłaganym odruchem, nie umiał sobie znaleść miejsca.

Wtem — stanął — miał myśl — miła, niedaleko, weźmie krótkie futerko, lekkie, pójdzie, nim się pobudzą, wróci, położy się, nikt ani się nie domyśli.

świadomiona tłuszcza, prowadzona przez płatnych agentów wszelkiego rodzaju wstecznictwa, ale postępowi literaci, artyści i uświadomieni pracownicy wszystkich zawodów — kwiat całej Francyi. Z zapartą piersią przechodziła publiczność przez cmentarz, ale gdy po za jego bramą ujrzała bawiących się na galeryach Moulin Rouge i sąsiednich kawiarniach, a z drugiej strony prowokującą gawiedź nacyonalistyczną, wydała jednogłośny okrzyk: „Niech żyje prawda!“ i zaintonowała swe hymny ludowe.

Z całego nastroju pogrzebu, z licznych delegacyj, z różnych wieńców i napisów widoczne było, że umarł człowiek wyjątkowy, nie przedstawiciel jakiejś sekty politycznej, nie bohater wojenny, nie zasłużony na jednem tylko polu badacz lub uczony, ale wielki myśliciel i działacz, który potrafił być nietylko znakomitym pisarzem, lecz i wielkim obywatelem, mogącym pod wielu względami służyć za wzór całemu światu myślącemu.

Nie w zapomnieniu zmarł Zola we Francyi, jak głoszą oszczercy Rochefort i Drumont, nie został on pochowany przez „zżydziałą burżuazyę,“ jak twierdzą ich niecne organy, ale otoczony aureolą i odprowadzony na miejsce wiecznego spoczynku przez swych uczniów — szermierzy postępu i wolnej myśli. Wprawdzie nie urządzono mu pogrzebu narodowego, nie złożono zwłok jego w Panteonie, ale bo też nie nadeszła jeszcze we Francyi epoka „Sprawiedliwości,“ obecnie można tam głosić dopiero słowa „Prawdy,“ że użyjemu tu znowu tytułów ostatnich jego powieści. Nie dziś, ale za lat kilkanaście, a może i później, całe społeczeństwo francuskie potrafi ocenić należycie wielkość geniuszu Zoli, jego szeroki umysł i gorące serce. Wtedy i wrota Panteonu staną dla niego otworem.

Pozostawiając komu innemu bliższą ocenę dzieł Zoli, chciałbym podnieść jedynie niektóre wybitne cechy jego charakteru i działalności, — te właśnie, które przyczyniły się najwięcej do jego unieśmiertelnienia, do zjednania mu głębokiej sympatyi u ludu, które i wogóle mogą być i drogowskazem i wzorem.

Był to człowiek wielkiej, usilnej, systematycznej pracy, ani jednego dnia nie strwonił na marne, zasadą jego było: *nulla dies sine linea*. Czterdzieści tomów prac jego to nie plagiaty, improwizacye lub majaczenia nowoczesnych neuropatów, ale owoce długich i sumiennych badań, spostrzeżeń i rozmyślań. Czem była dla niego praca, jak wzniosłe miał o niej pojęcie, niech zaświadczą własne jego słowa, wyrzeczone przed kilku laty w Stowarzyszeniu studentów: „Pracujcie, obowiązkiem bowiem ludzi inteligentnych jest zdobywać wiedzę, aby ją później szerzyć wśród ludu. Pracujcie, bo praca jest pocieszycielką w cierpieniu, goryczy i zawodach życiowych. Pracujcie, bo epoka marzeń już przeszła, a dawne wierzenia muszą czem prędzej ustąpić prawdziwej wiedzy, która ludzi wyzwoli i uszczęśliwi.“

Posiadał on niezwykle silną wolę, szczególną wytrwałość i rzadką odwagę. Nawet dr. Toulouse, który dokonywał nad nim badań medyko-psychologicznych, podnosząc w nim te przymioty, przyznaje, że Zola pod tym względem może być wielce pouczającym przykładem dla psychologa, lekarza i wychowawcy. Umiał on bowiem zapanować nad swą artretyczną naturą, przemógł skłonność do tycia i leniwego życia, zaprzągł się do ćwiczeń fizycznych, aby nie być niewolnikiem swego ciała i módz w całej pełni pracować umysłowo. Skoro raz przedsięwziął jaką pracę, żadne przeciwności go nie powstrzymały i szedł prosto do celu. Jego wiekopomny list otwarty: „Oskarżam!“, napisany po głębokim namyśle i długiej rozwadze, jego spokojne zachowanie się przed sądem, nacechowane wysoką godnością i pewnością siebie, jego pełne logiki następne listy otwarte, jego niewzruszone stanowisko wobec przekupionej lub nieświadomej zgrai, czyhającej na jego honor, wolność i życie, jego pogarda połączona z litością względem osobistych potwarców i oszczerców, jego poświęcenie spokoju, dobrobytu i pozornego szczęścia dla idej wyższej — czyż nie jest to wszystko dowodem żelaznej woli, nader silnego charakteru i niebywałej odwagi, a nie jakiejś pychy lub bezgranicznej zarozumiałości, jak twierdzą jego przeciwnicy? Dla niego wściekłe wycia wsteczników były zawsze podnietą do pracy, a oszczerstwa dawnych jego przyjaciół i pseudokrytyków nie zamykały mu nigdy ust, nie wytrącały pióra z ręki.

Zola szedł wciąż naprzód. Pomimo ukończonych lat sześćdziesięciu, był zawsze gorącym szermierzem postępu. Każde późniejsze dzieło świadczy, że przekonania jego krystalizowały się coraz więcej, ideały stawały się wyraźniejszymi, nie obniżały się nigdy, a pogląd na świat nie ulegał zwężeniu. Ostatnie utwory, *Travail* i *Véritć*, są daleko wyraźniejsze i postępowsze, niż *Germinal*, lub poprzednie dzieła. Znakomita większość jego druhów młodości, jego towarzyszów po piórze przeszła już dawno do obozu zachowawców albo wycofała się całkiem z pola walki. Zola do śmierci pozostał młodym. Był on człowiekiem prawdy, która była gwiazdą przewodnią jego działalności i życia, jego celem i środkiem. Mając dla niej kult bezgraniczny, nie przestał jednak w swych dziełach być poetą i marzycielem; w ostatnich zwłaszcza utworach jego nie brak pięknych obrazów przyszłego szczęśliwego życia. Nietylko przedstawiał on wstrętne, acżkolwiek prawdziwe, typy przeżytego mieszczaństwa, ale umiał odczuć troski i dążenia tłumów, które pod jego piórem drgały pełnią życia. „Nikt — mówi słynny prof. Berthelot — nie wyraził lepiej od Zoli nędzy teraźniejszego społeczeństwa oraz nadziei lub marzeń przyszłego.“ Prawda, a nie chęć rozgłosu i nowej sławy, pchnęła go na szerszą widownię życia społecznego. Patrząc zblizka na piętrzące się niesprawiedliwości z powodu wszczętej nanowo sprawy Dreyfusa, na wzmagającą się we Francyi reakcyę, widząc niemożliwość wyzwolenia nawet jednostki niesprawiedliwie sądzonej w wolnej jakoby Francyi, Zola, szermierz prawdy, zacięty wróg obłudy i fałszu, poczuł w sobie nowe budzące się siły, zapał, żądzę wystąpienia również do walki. I nie bacząc na swój wiek, ani na wszystkie następstwa, wystąpił i wytrwał, a Francya pod wpływem jego słów gorących zbudziła się w części przynajmniej. On zaś, wróciwszy z wygnania, nie szukał nagrody, ani zaszczytów, lecz znowu w ciszy i spokoju zaprzągł się do pracy twórczej.

Na jego pomniku wyrytem być winno: *Veritatem coluit* — uprawiał prawdę.

Dr. Józef Zieliński.

Z Ameryki.

Nowy-York, 26 września.

Wyniki spisu ludności i wzrost wychodźtwa polskiego. — Amerykanizowanie Polaków. — Poważne braki obecne i dobre zamiary na przyszłość.

Cyfry z dwunastego spisu ludności Stanów Zjednoczonych z r. 1900, dotyczące wychodźtwa i stałej ludności polskiej w Ameryce, przedstawiają ciekawe przeciwieństwo z przypuszczalną rzeczywistością. To samo rzec można i o innych narodowościach. Sądzimy więc, że warto dziś jeszcze przypomnieć niektóre dane pod tym względem.

Wzmiankowane zestawienia cyfrowe noszą na sobie wyraźne piętno małoduszności środków, użytych podczas spisu mieszkańców, a mianowicie — amerykanizowania ludności z za oceanu. Tak np. Niemcy utrzymują, że ludność ich w Ameryce wynosi 12 milionów, Irlandczycy obliczają swoją

A on tej odmowy przenieść nie może.

Któż to może wiedzieć, może to ostatni pacyent, wstyd za całe życie. Nie, niepodobna.

Zdrowie? No, może wytrzyma. Żona, dzieci? ha, to go właśnie skłoniło, że został — ale teraz widzi, że to nie do zniesienia. Zresztą niepodobna odwlekać, niepodobna się namyślać; w tej chwili nie wolno mu wogóle o niczem innem myśleć; jego przymus moralny, jego kategoryczny nakaz jeden tylko: „chory! w drogę!

Dwóch słów, dwóch względów, dwóch obowiązków niema; jest tylko jedno słowo: „chory,“ jeden wzgląd: „porada,“ jeden obowiązek: „iść.“

Zebrał się, wyszedł bez szelestu.

Psy odprowadziły go daleko, wreszcie odpędził je od siebie.

Noc była straszna. Wiatr dął mu w twarz i siekł ją deszczem. Niepodobna było oczu otworzyć.

Szedł więc z zamkniętemi oczyma, rozmokłym gościńcem, laską tylko trzymając się drogi.

Zrazu było ciepło, gdyż dopiero wyszedł z pokoju ogrzanego, a nadto droga wiodła doliną.

Lecz gdy się wydostał na gościniec, biegnący samym szczytem długiego pagórka, poczuł, że się ubrał za lekko.

Ale wracać już było za późno, jeszcze pół godziny drogi, i odpocznie.

Przyśpieszył kroku, poczucie dobrego uczynku dodało mu siły.

W chałupie się świeciło. Rodzina rzuciła mu się do nóg.

Ze zwykłą uwagą i troskliwością zbadał chorego, zapisał lekarstwo, dodał sporo objaśnień i przepisów.

Wózek zajechał; chcieli dać kożuch na drogę, odmówił: co? doktór w chłopskim kożuchu? jakby to wyglądało? cóż stąd, że noc? widzieliby go przecież na odjezdnem, a potem czuł wstręt do cudzej odzieży — nigdy go nie mógł przezwyciężyć. Pół godziny, najwyżej trzy kwadranse i będzie w domu.

Dojechał — kazał stanąć w pewnem oddaleniu, by turkotem nie zbudzić rodziny — niespostrzeżony dostał się do swego pokoju — nie zapalając świecy, rozebrał się, torbę na swojem miejscu położył, buty zbłocone schował do szafki i zamknął na klucz, wyjąwszy inne, czyste i postawiwszy przed łóżkiem dla niepoznaki, położył się uspokojony, pogodny i usnął.

Lecz zbudził się wkrótce. Gość nieproszony, niespodziewany zapukał nagle do zmęczonego starca. Gorączka. Ona to zdradziła nocną wycieczkę lekarza.

I została już przy nim do końca — z zaziębienia wywiązała się choroba, z której już nie miał powstać.

Nie żałował niczego, nie skarżył się, pierwszy raz w życiu śledził na sobie to, z czego już tylu innych wyprowadził.

I kiedy żona i córki, bez łez, z troski, jak martwe, snuły się koło jego łoża — on je pocieszał słabym głosem, mówiąc.

— Na posterunku, moi najdrożsi, na posterunku....

I uśmiechnięty przymykał oczy... zmęczone...

na 6 mil., Polacy na przeszło 2 mliony itd. Tymczasem z ogólnej liczby mieszkańców Stanów Zjedn., która wzrosła w r. 1900 do 76,303,387, na ogół cudzoziemców przypada tylko 10,460,085, a mianowicie: Niemców 2,666,990, Anglików (oprócz Islandyi i Kanady) 1,169,737, Irlandczyków 1,618,567, Szwedów 573,040, Rosyan 424,096, Włochów 408,207, Polaków 383,510 itd. Ogólną zaś liczbę wychodźców do Stanów Zjed. od r. 1821 do 1900 obliczono na 20 milionów. Na olbrzymią różnicę tych wyników z podaniem ustnem złożyło się dużo przyczyn. Gdy chodzi o Polaków, spisy amerykańskie przedstawiają tyle różnych powikłań i taką zawieruchę faktów, iż dotarcie do cyfr, mających jaką taką wartość, nastręcza ogromne trudności. Pomimo tego dwunasty spis ludności ma to za sobą, iż pozycye, dotyczące naszej ludności, obliczane są z wyodrębnieniem wychodźtwa z innych dzielnic. Ta myśl przewodnia nuży jednak od czasu do czasu sprawozdawców, często więc spotyka się jeszcze cyfry mieszane. A bywa tak prawie zawsze, gdy chodzi o poprzednie dziesiątki lat, w których tego wyosobnienia Polaków nie uwzględniano.

Drugą przyjętą zasadą w spisie ludności było zaliczanie do kategoryi cudzoziemców osób urodzonych w obcych krajach, dzieci ich zaś, które przyszły na świat w Ameryce, zaliczane już są do ludności miejscowej. Tymczasem zdarza się np. bardzo często, jak w Chicago, tak w Buffalo, iż dzieci, wychowujące się w szkołach polskich, władają nierównie lepiej językiem polskim, niż angielskim, zapytane zaś, czy są Amerykanami, odpowiadają z urazą: „Wcale nie, my jesteśmy Polacy.“ Spotkałam raz taką grupę dzieci, bawiących się na ulicy. Jedno z nich, dziewczynka lat może 10, zapewniała podniesionym głosem, że się bawić nie będzie, dopóki Flora i Mania nie pójdą do domu. „A to dlaczego?“ — zapytałam, zawiązując gawędę. „A bo one, proszę pani, nie chcą mówić po polsku.“ A stało tego drobiazgu pod drewnianym płotem cały szereg. I takie dzieci zaliczane bywają do ludności amerykańskiej.

Powtóre wśród osób, przybyłych do Stanów Zjedn., znaczna bardzo liczba zamieszkuje ten kraj od lat kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu. Osoby takie bez bardzo wyraźnej opozycyi włączano do ludności amerykańskiej. Rozmawiałam w tej sprawie z ludźmi rozmaitych narodowości, a wszyscy powtarzają to samo, że urzędnicy, o ile się dało, wmawiali w cudzoziemców, że są Amerykanami, kiedy korzystają z kultury nowego świata. A spostrzeżenia własne każą mi przypuszczać, iż Żydzi polscy bardzo łatwo i często zapierają się swego pochodzenia. Przychodzą do mnie czasem osoby tej kategoryi, rade pogawędzić z kimś, kto im przypomina ich ziemię, ale i wówczas jeszcze zapierają się pochodzenia polskiego. Zresztą, aby się o tem przekonać, nie potrzeba jechać do Ameryki. To samo jest w Wiedniu, to samo w Berlinie. I oto w jaki sposób liczba Polaków na gruncie amerykańskim wynosiła w 1890 r. tylko 147,440, w 1900 zaś 383,510.

Najwięcej Polaków przypada z tej liczby na stany:

	z dzielnic			
	austryac.	niem.	rosyjs.	niewiad.
Nowy-York	9,969	19,794	37,347	2,912
Illinois . .	10,291	37,491	17,083	3,084
Pensylwania	15,552	14,343	42,753	3,710
Visconsin .	1,368	25,607	3,307	1,507
Michigan .	2,063	20,218	4,524	1,481

Najmniej zaś Polaków przybywa do takich stanów i terytoryów, jak Arizona, Florida, Mississipi i Virginia.

Jeszcze ciekawsze są cyfry ogólnego wychodźtwa Polaków do Stanów Zjedn. w zestawieniu z ogólną emigracyą ludów od r. 1821 do 1900. Charakterystyczna cecha tej ostatniej polega na tem, że takie państwa, jak Anglia, Niemcy, Szwecya, Norwegia i Dania, dały znacznie większą emigracyę, niż Austrya, Węgry, Włochy i Rosya, łącznie nawet z ludnością polską. Gdy na pierwszą grupę ludów od r. 1821 do 1890 przypada 13,000,000, na drugą 2,427,657 tylko. Od r. 1891 następuje zupełny zwrot. Emigracya pierwszej grupy od r. 1891 do 1900 wynosi 1,539,926, drugiej— 2,147,643. Ogólnie zaś wychodźtwo polskie i rosyjskie od r. 1850, w porównaniu z emigracyą ogólną wyraża się w następujących danych procentowych: 1851—60 — 0.1%, 1861—70 0,2%, 1871—80 — 1,8%, 1881—90 — 5,0%, 1891—1900 — 16,3%.

W latach ostatnich liczba Polaków, zapisanych na wyspie Ellis pod Nowym-Yorkiem, gdzie ulegają rewizyi pasażerowie trzeciej klasy, nim się dostaną na grunt amerykański, wynosi: w 1901 r. 25,466 Polaków mężczyzn, w 1902 — 40,000 mężczyzn i 15,636 kobiet. Do narodowości rosyjskiej zaliczono w 1902 r. 550 mężczyzn i 85 kobiet.

Z liczb tych jedno jest zupełnie jasne, że ilość Polaków przypływających do Ameryki wzrasta z każdym rokiem. Różne przyczyny każą dążyć coraz liczniejszym rzeszom młodych i starych, zdrowych i chorych, niedorostków i kobiet brzemiennych, nawet ślepców o kiju żebraczym, do tej nowej ziemi obiecanej, aby zdobyć trochę złota, o którego obfitości cuda szepcze łatwowierna wyobraźnia. Z jednej strony nadzieja lepszej doli, z drugiej — ból ducha, przepalonego w licznych zawodach, stwarza tę nieopatrzną odwagę rzucenia wszystkiego, co drogie sercu, aby siłą i potęgą woli wytworzyć dokoła siebie nowy szereg przyczyn i skutków, mających przynieść ukojenie doczesne, jeżeli nie wieczne. A wymownem uzupełnieniem tego obrazu nędzy ludzkiej jest widmo wielkiej kultury amerykańskiej, wyciągające dłoń po ostatnią własność wychodźcy — jego narodość.

Należałoby wobec tego zespalać się ludności polskiej, rozbudzać świadomość celów i środków spisów ludnościowych, aby wynik następnych był lepszy; należy zwłaszcza zachęcać się wzajemnie do wytrwałego i konsekwentnego organizowania stosunków polskich za oceanem. Jest to niezmiernie ważne wobec wzmagającego się wciąż wychodźtwa.

Szkolnictwo i dziennikarstwo polskie domagają się oddawna zmiany na lepsze. Kiedy Niemcy, Francuzi, Hiszpanie mają liczne szkoły prywatne, doskonale zorganizowane stowarzyszenia, kluby literackie i przemysłowe, własne fabryki itd., Polacy w Nowym-Yorku nie mają dotąd ani jednej szkoły prywatnej, ani jednego domu polskiego. Istniejące stowarzyszenia, jak „Harmonia,“ „Oświata“ i inne gromadzą się po wynajmowanych umyślnie salach lub w restauracyach. Jest to jedna z ważniejszych przyczyn małego rozbudzenia życia towarzyskiego wśród Polaków.

O zmianach jednak pod tym względem mówi się obecnie we wszystkich kołach polskich. Dwa Towarzystwa, z których każde liczy zaledwie po 40 członków, łączą się obecnie w jedność, w celu wzmocnienia wspólnemi siłami przyszłej działalności. Założenie szkoły polskiej i otwarcie Domu polskiego jest również przedmiotem ciągłych obrad i usiłowań.

A. W.

Henryk Forszteter.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Oddając przed dwoma tygodniami do druku żywą i zajmującą, jak zawsze, rozprawkę Forszteter o dwu nowych zwrotach społecznych, nie przypuszczaliśmy ani na chwilę, że będzie ona ostatniem pożegnaniem z czytelnikami długoletniego współpracownika *Prawdy* i szczerego jej przyjaciela. Nie zdążył jeszcze ukazać się numer, zawierający drugą część tej pracy („Era reform społecznych we Włoszech“), gdy doszła nas z Berlina wiadomość, że Henryk Forszteter nie żyje. Zabiło go we wtorek 7 b. m. wyczerpanie ogólne i ostre osłabienie serca.

Nurtowany od lat kilku ciężką chorobą, nie przestawał pracować gorączkowo: gromadził materyały do obszernej i gruntownej pracy z dziedziny teoryi wartości, którą zamierzał zbudować niezależnie i odmiennie od Marxa, a jednocześnie korespondencyami swemi oraz artykułami społecznymi i ekonomicznymi zasilał wszystkie nasze pisma postępowe, głównie jednak kierując je do *Prawdy*, dla której nieoczekiwana tak prędko śmierć jego stanowi niepowetowaną i bolesną stratę. Dość przypomnieć, że na łamach pisma naszego ogłosił on od r. 1894 sto kilkadziesiąt krótszych i dłuższych listów z Niemiec, artykułów i rozpraw naukowych i społecznych, podpisywanych najczęściej inicyałami tylko lub pseudonimem Przedmiejski, a w latach ostatnich zachowywaliśmy miejsce dla niego w każdym literalnie numerze. W trzydziestym trzecim roku życia śmierć, w dosłownem znaczeniu wyrazu, wytrąciła mu z ręki pióro, które było dla niego nietylko narzędziem pracy zarobkowej, ale i zarazem dzielnym orężem w szlachetnej walce ideowej, zmierzającej do poprawienia stosunków życia i pomnożenia szczęścia ogólnego.

To też przedwczesna śmierć Forsztetera jest czemś więcej, niż tylko stratą dla ludzi, związanych z nim ściślej przekonaniami i dążeniami, dla jednego stronictwa lub organu. Społeczeństwo traci w nim pełnego zapału szermierza przyszłości, nauka — badacza poważnego, oddanego jej całkowicie z godnem podziwu zaparciem się wszelkich dążeń do tak zwanego szczęścia osobistego. Pracowników takich mamy wciąż jeszcze zbyt mało, abyśmy przechodzić mogli obojętnie nad otwierającemi się dla nich mogiłami.

Henryk Forszteter urodził się w 1870 r. w Lublinie. Nędza, którą był otoczony w dzieciństwie, niezwykle ciężkie warunki, w jakich zdobywał wykształcenie średnie i wyższe, nie pozostały bez wpływu na rozwój jego przekonań społecznych i — na samym wstępie do życia — poderwały jego zdrowie i siły. Ukończywszy gimnazyum w mieście rodzinnem, a następnie wydział prawny w Warszawie ze stopniem kandydata, wyjechał na dalsze studya za granicę i od lat dziesięciu osiadł stale w Berlinie, gdzie utrzymywał się wyłącznie z publicystyki. Pierwszymi jego artykułami w *Prawdzie* były rozprawki ekonomiczne: „Szewc galicyjski“ (1892 r.), „Chłop galicyjski,“ „Polscy kopacze kartofli w Prusach“ (1894) — pisane wszystkie z głębokiem zrozumieniem współczesnych prądów społecznych i z prawdziwym talentem publicystycznym, cechującym w wysokim stopniu dalsze prace zgasłego pisarza. Talent ten rozwinął się zwłaszcza, gdy (od r. 1895) Forszteter umieszczać zaczął w *Prawdzie* pełne satyrycznego zacięcia i werwy, wogóle doskonale pisane listy z Niemiec. Szowinizm i nadużycia junkrów pruskich, głośne i ciche sprawki Bismarka, wyzysk klas pracujących, prawa i sądy wyjątkowe przeciw Polakom, stosunki szkolne i uniwersyteckie, stopniowy lecz nieustanny rozrost idei demokratycznej i cała ta niełatwa do ogarnięcia plątanina stosunków społecznych, z której wyłania się powoli zorza nowego życia, znalazły w Forszteterze bystrego obserwatora i wybornego malarza. Nie poprzestając na stosunkach wewnętrznych Niemiec, od czasu do czasu zapoznawał on czytelników z no-

wymi prądami i dążeniami na szerokim świecie lub w dłuższych rozprawach, jak: „Praca zawodowa kobiet a małżeństwo,“ „Stanowisko społeczne pracy współczesnej,“ „Sprawa mieszkaniowa“—że wymienimy tylko parę ostatnich — poruszał zagadnienia ogólniejsze.

Marzeniem jednak Forsztetera, bodźcem do pracy w ciężkich chwilach życia, był zamiar wykończenia wspomnianego już dzieła z dziedziny teoryi wartości. W *Poradniku dla samouków* i w *Przeglądzie polskim przemysłu, handlu i rolnictwa* („Uwagi o teoryi wartości Marxa“) znajdujemy zarys jego poglądów na to pierwszorzędne zagadnienie naukowe. W rękopisie wykończył podobno kilka pierwszych rozdziałów, ciąg dalszy zbudowany miał być na ogromnym materyale studyów historycznych i ekonomicznych, lecz niezwykła sumienność młodego badacza, słaby stan zdrowia i zdenerwowanie ogólne nie pozwalały tej pracy posuwać się zbyt szybko, aż wreszcie śmierć przerwała ją w połowie, niwecząc bezlitośnie większą część wysiłków i marzeń.

Dzielnego towarzysza pracy, prawdziwego przyjaciela pisma i szlachetnego człowieka, który szedł przez życie, wpatrzony zawsze w promienne gwiazdy idei, żegnamy z żalem serdecznym. Sądzimy, że i w pamięci czytelników potrafił on wznieść sobie pomnik piękny i trwały, na który zasłużył w zupełności.

Wł. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Handel kobietami.

Spotykaliście zapewne mężczyzn, którzy znalazłszy się w „odpowiedniem gronie,“ puszczali takie swędliwe fajerwerki konceptów i anegdot o kobietach, że przy niejednym z tych ogni nawet *Venus vulgivaga* zarumieniłaby się mocno. Znaliście innych, którzy z pism humorystycznych wyławiali tłuste kąski i raczyli nimi swoje żony i córki, bawiąc się serdecznie ich niedomyślnością lub zakłopotaniem. Pamiętacie również, że ci sami weseli kpiarze oburzali się głęboko, gdy w jakiemś wydawnictwie poważnem dostrzegli artykuł o tej strasznej i zabójczej chorobie, która zwie się prostytucyą, a udręcza i wyniszcza ród ludzki przez cały ciąg jego cywilizacyjnego życia. Cierpieć w milczeniu — należy, drwić i bawić się padliną dusz i ciał — można, ale rozważać ją publicznie, szukać środków zaradczych — nie wypada. Na szczęście to „nie wypada“ przechodzi powoli jako przeżytek do wielkiego muzeum historyi, w którem spoczęło już tyle skamieniałości nierozumu i obłudy.

I pod tym względem czasy bardzo się zmieniły. Może umysły więcej dojrzały, a może samo złe tak mocno ścisnęło ludzkość za gardło, że ona już najskromniejszemi ze swych ust woła głośno o ratunek. Świeżo we Frankfurcie n. M. zakończył swe obrady międzynarodowy zjazd przedstawicieli rządów i osób prywatnych w sprawie handlu dziewczętami. Rozmiarów tego handlu, raczej domyślamy się, niż je znamy, gdyż z jednej strony przebiegłość zbrodniarzy, a z drugiej wstyd ofiar rzuca na niego ciągle gęstą zasłonę. Jak nagle w górach wiatrem rozpruty obłok odkrywa nam bezdenną przepaść, tak rozdarta wypadkiem tajemnica ukazuje od czasu do czasu otchłań tego występku, nie pozwalając jednak zmierzyć dokładnie jego głębokości. Stwierdzono tylko, że istnieje międzynarodowa banda, która za pomocą najrozmaitszych przynęt i kłamliwych obietnic korzystnej pracy, sfałszowanego małżeństwa itd. wywabia ze wszystkich krajów młode, ładne kobiety, sprzedając je następnie pojedynczym rozpustnikom lub domom publicznym w Europie, Egipcie, Ameryce, głównie zaś w Argentynie. Ma ona swoje biura, kantory, filie, ma agentów ukształconych, wytwornych, umiejących czarować nietylko pokojówki, ale i salonowe panny. Przed paru laty jedną z takich Warszawianek poślubił elegancki, bogaty cudzoziemiec, który wiozący ją do Ameryki, wyznał jej na statku, do czego została przeznaczona. Tylko dzięki opiece kapitana okrętu, do którego zwróciła się przerażona kobieta, uniknęła sromotnego losu. Naturalnie, proste, niezaradne dziewczęta nie wydzierają się ze szpon sępów, zwłaszcza że nawet przekupiona policya niektórych krajów (szczególnie Argentyny) odmawia pomocy nieszczęśliwym. Ile w tych zbrodniach skryło się strasznych dramatów, z których ani krzyk rozpaczy, ani jęk bólu nie doleciał nigdy do uszu świata!

Zasługa zwrócenia na niego uwagi publicznej należy się londyńskiej „Vigilance Association,“ która wywołała pierwszą „poufną“ konferencyę w Berlinie 1890 r. Poruszono tę sprawę następnie na kongresie londyńskim (1899), ale pierwszą naradą, w której wzięli udział również delegaci rządów, była tegoroczna konferencya paryska i ostatnia frankfurcka. Tu już wystąpili dość licznie przedstawiciele i przedstawicielki „komitetów narodowych,“ pracujących w obrębie własnych społeczeństw nad zatamowaniem złego.

Ale co robić, ażeby ta praca była działalnością płodną, a nie sportem filantropijnym? Uczestnicy zjazdu dawali rozmaite rady, przeważnie dotyczące zaostrzenia czujności policyi i surowości prawa. Rzeczywiście, stróże bezpieczeństwa publicznego, wychowani w odmiennych pojęciach męzkich, nadających kobiecie wartość artykułu spożywczego, nawykli do przywilejów i nadużyć swej płci, tresowani przytem w tropieniu przewinień tradycyjnie prześladowanych—nie nauczyli się jeszcze widzieć zbrodni w handlu dziewczętami. I kodeksy nie obciążają go karami. Bardziej zagrożony jest odpowiedzialnością złodziej, który ukradł komuś owcę, niż agent, który mu ukradł córkę. Pierwszego sprawiedliwość ścigać będzie po całej kuli ziemskiej, drugi nie potrzebuje wcale przed nią uciekać. Zachodzi tu więc naprzód konieczność powiększenia kar sądowych, a nadto powiększenia ich na całym obszarze cywilizacyi. Ponieważ organizacya występku jest międzynarodową, przeto i organizacya tępienia go musi być także międzynarodową. To znaczy, że nietylko wszystkie państwa powinny wprowadzić do swych kodeksów odpowiednie artykuły karne, ale pozwolić swym organom sądowo - administracyjnym porozumiewać się z obcymi bezpośrednio. Niektórzy członkowie zjazdu frankfurckiego żądali nawet, ażeby sąd każdego państwa włączał do aktu oskarżenia handlarzów ciałem kobiecem przestępstwa popełnione przez nich po za jego granicami. Wreszcie kobiety domagały się zniesienia domów rozpusty, na co mężczyźni odpowiedzieli delikatnym uśmiechem, wyrażającym nietyle protest, ile pobłażliwość dla naiwności nierozumiejącej, jaką siłę chce pokonać.

Niewątpliwie przebieg obrad zjazdu frankfurckiego ukazał nam oblicze czasów zmienionych, umysłów dojrzałych w doświadczeniach życia społecznego. Jeszcze przed dwudziestu laty „damy“ nie odważyłyby się publicznie mówić o pewnych rzeczach i nazywać je pewnymi wyrazami, które zastrzeżone były tylko dla gawędek i zwierzeń męzkich. I to również jest pewne, że uchwały tego grona mogą wywrzeć wpływ praktyczny na prawa i postępowanie rządów względem ohydnego handlu dziewczętami. Ale z drugiej strony nie należy przeceniać tych wyników dodatnich. Wiadomo, że żaden na świecie poród nie odbywa się tak wolno, jak poród nowych idei. Na konferencyi frankfurckiej niby obnażono sprawę z osłonek purytanizmu, niby rozsznurowano usta ze skrupułów, a jednakże gdy parę razy śmielsza ręka dotknęła istotnej i może najgłębszej rany, powstrzymano ją znakami niezadowolenia. Sala obrad nie była już salonem, ale była jeszcze klubem mieszczańskim. Niedawno wykazywałem potrzebę zarzucenia terapii politycznej, leczącej miejscowo i wiązania objawów choroby z ogólnym stanem zdrowia społeczeństw. Czy jest kto tak ślepy, iż nie widzi, że jedną z głównych przyczyn rzucania się kobiet w nierząd stanowi nędza? Dlatego handlarze ciałem niewieściem najwięcej swego towaru zdobywają w warstwach i krajach ubogich (*Galicya*). Tymczasem gdy pani H. Fürth stwierdziła to na kongresie i wezwała do poprawy dobrobytu klas biednych, odezwały się sykania. Jak dawniej nieprzyzwoitym był wyraz „prostytucya,“ tak dziś nieprzyzwoitym jest „proletaryat.“

Prawdopodobnie dzięki usiłowaniom agitacyjnym w celu stłumienia handlu kobietami nietylko rządy położą na nim swą karzącą rękę, ale społeczeństwa, elektryzowane działalnością odnośnych stowarzyszeń, oczyszczą nieco swą atmosferę moralną z miazmatów. Czy jednakże po tym ruchu i wogóle po tak zwanym ruchu etycznym można się spodziewać tego przełomu w stosunkach między płciami, o którym marzy idealizm etyczny? Są oportuniści, którzy w domach rozpusty widzą kanalizacyę zwierzęcych namiętności, grożących bez niej niebezpiecznym zalewem; dla nich zakłady tego rodzaju są równie potrzebne, jak wszystkie instytucye użyteczności publicznej. Są sceptycy, widzący w mężczyźnie urodzonego poligamistę, który dla dogodzenia swym popędom wyłamie się z wszelkich praw moralnych. Nie podzielam zdania zarówno jednych, jak drugich. Owa kanalizacya, chociaż powołuje się na mądrość Likurga i dwadzieścia kilka wieków swego istnienia, nie jest ani konieczną, bo w wielu miejscach została zniesiona bez złych następstw, ani pożądaną po za kręgiem natur fizycznie i moralnie zwyrodniałych. I gdyby usunąć grunt, jakiego jej dostarcza militaryzm, skurczyłaby się do niewielkiej kałuży, w której przebywają istoty łaknące błota. Sądzę, że już dziś więcej mężczyzn w nią pluje, niż czerpie z niej zadowolenie. Mają oni być urodzonymi poligamistami. Większość — niewątpliwie. Ale jeżeli tę właściwość uważają w sobie za złą, za pozostałość zwierzęcą, dlaczego nie mieliby się jej pozbyć? Więc możemy z Miecznikowem przypuszczać, że ludzie w dalszym rozwoju stracą paznokcie, zęby, śledzionę itd., a nie możemy wyobrazić sobie, że mężczyźni przestaną być rozkiełznanymi samcami, oni, którzy dokonali w sobie zdumiewających przekształceń, oni, którzy umieli się wznieść do najwyższych szczytów idealizmu? A czy i dziś niema takich? Byłoby grubą niesprawiedliwością temu przeczyć. Blaski Donżuana coraz bardziej gasną w oczach nowoczesnego mężczyzny, który dziś chętniej czyta powieści Tołstoja, niż poemat Byrona. A gdy wychowanie, literatura, opinia, wpływy społeczne utrwalą i rozwiną w nim instynkty szlachetne, przestanie on być spożywcą „żywego towaru,“ klientem handlujących ciałem kobiecem, gościem domów rozpusty i obrońcą przywilejów poligamicznych. I będzie miał daleko większą zasługę, poskramiając swe namiętności wielkie, niż kobieta tłumiąca małe. Dziś

jeszcze pozwalają mu być poligamistą rodzice, bracia, siostry, żona, przyjaciele, znajomi, prawo, społeczeństwo—a on mimo tylu dyspens bardzo często poligamistą nie jest! Dlaczegóżby nie miał zdobyć się na tę czystość w przyszłości?

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Dochód od kapitału.

W. Grant Sawin: *The Profits and Volume of Capital.*

Przypuśćmy kraj zupełnie pierwotny, gdzie nawet wyrób sieci do połowu ryb nie jest jeszcze znany. Przypuśćmy dalej, iż mamy do czynienia z pierwszym człowiekiem, który sieć taką wymyślił. Spostrzega on, iż przy jej pomocy może złowić 100 ryb z takim samym wysiłkiem, z jakim dawniej łowił tylko 10. Te 10 ryb były i pozostają wciąż wynagrodzeniem jego pracy bezpośredniej, stanowią jego płacę roboczą, gdy tymczasem pozostałe 90 ryb będą zyskiem, przypadającym za udział sieci w łowieniu ryb. Jeżeli jej właściciel, dla jakiegokolwiek powodu, zaniecha pracy i pożyczy sieć sąsiadowi, zażąda 90 ryb za jej użycie.

Przypuśćmy dalej, iż sieć trwa lat 5 i że się zużywa każdorocznie w tym samym stopniu. Wskutek tego zużycia na początku drugiego roku wynalazca jej łowić będzie już tylko 80 ryb zamiast 100, gdyż oczka sieci stały się rzadsze; a zatem czysty dochód, płynący z niej, sprowadzi się już tylko do 70 ryb. Na początku trzeciego roku łowi, dla tej samej przyczyny, jeszcze mniejszą ilość, 60 ryb, a zysk wynosi tylko 50. Na początku piątego roku połów jego wynosi 20 ryb, a zysk 10; zbliżając się do końca pierwszego półrocza (w 6-ym miesiącu piątego roku) łowi 11 ryb i ma w zysku jedną, wreszcie w siódmym miesiącu tegoż roku połów wynosi już tylko 10 ryb, inaczej mówiąc, użycie sieci staje się zupełnie bezcelowem: sieć przekroczyła *granicę użyteczności.*

Ta granica użyteczności każdego kapitału jest zupełnie analogiczną do granicy uprawy roli w prawie, rządzącem rentą ziemską. Ta granica jest punktem wyjścia z jednej strony dla renty, z drugiej — dla dochodu od kapitału, gdyż sieć grała oczywiście jego rolę.

Gdy zyski z użycia nowej sieci były jeszcze znaczne, inni członkowie szczepu zaczęli wytwarzać podobne i używać ich w tym samym celu. Gdy ilość sieci staje się znaczną, granica ich użyteczności określoną zostaje przez potrzebę ryb w danym szczepie, wówczas np. sieci czteroletnie, łowiące tylko po 20 ryb, będą „krańcowemi,“ niżej szczep się nie spuszcza, gdyż jego potrzeby ryb są zupełnie zaspokojone. Przy tych warunkach używać sieci starszych, dostarczających np. tylko 15 ryb, nie warto — byłoby to próżną stratą wysiłków ludzkich.

Sieci czteroletnie stają wówczas na „granicy“ użycia, tj. nie dają żadnego zysku i 20 ryb, łowionych przez nie, stanowić będzie płacę roboczą, która wzrosła w ten sposób o 10 ryb. Ten przyrost płacy roboczej zawdzięczać należy, oczywiście, zwiększeniu użycia sieci (przy danych potrzebach szczepu pod tym względem), które sprawiło, iż sieci czteroletnie, łowiące 20 ryb, stały się najuboższemi, krańcowemi, niedającemi żadnego zysku, oprócz płacy roboczej. Widzimy więc, iż „próg“ czyli „granica“ bądź uprawy ziemi, bądź użycia kapitału nie jest czemś bezwzględnem, lecz rzeczą zupełnie względną, zależną od względności tych narzędzi z jednej strony i od natężenia potrzeb społecznych z drugiej.

Ilość sieci może z czasem tak wzrosnąć, iż sieć starsza, niż trzyletnia, znajdzie się poza progiem, jako nieużyteczna, przy danych potrzebach szczepu. Ponieważ wówczas sieci trzyletnie stoją na granicy użycia i nie dają już żadnego zysku, więc całkowity ich połów, czyli ryb czterdzieści, stanowić będzie płacę roboczą wszystkich rybaków, a wszystko to, co inne sieci łowią ponad ryb 40, stanowić będzie zysk.

Prawo kapitału krańcowego może więc być sformowane w sposób następujący: kapitałem, stojącym na granicy użycia, jest kapitał najmniej wydajny, najuboższy, którego użycie jest jeszcze niezbędne dla zaspokojenia potrzeb społecznych.

Zysk, o którym dotychczas mówiliśmy, jest zyskiem *brutto.* Ponieważ na przygotowanie sieci zużyta została pewna praca, więc oczywiście z tego ogólnego dochodu należy coś potrącać, by sieć mogła być odnowioną, gdy zostanie zużytą zupełnie. Suma ta w owej chwili zupełnego zużycia musi odpowiadać pracy, którą wyłożono na przygotowanie sieci. Inaczej mówiąc, należy zebrać fundusz dla zastąpienia starej sieci przez nową.

Zauważmy, iż w miarę, jak granica użycia się wznosi, fundusz ten stanowi coraz większą część dochodu ogólnego. A mianowicie: płaca robocza, jak widzieliśmy, rośnie, w miarę wzrostu granicy użycia kapitału, dlatego też koszty odnowienia sieci, przy wyższej płacy roboczej, wzrastają i jednocześnie okres użycia sieci się skraca.

Jeżeli w końcu lat dwu zysk całkowity w użyciu sieci opłaca ściśle koszty przygotowania nowej, „punkt reprodukcyi“ kapitału za pomocą jego zysków został dopięty. Jeżeli potrzeba ryb w społeczeństwie nie wymaga niczego poza ich połowem za pomocą sieci dwuletnich, to w tych warunkach zyski, czyli procent od kapitału znikł, gdyż, jak widzieliśmy, płaca robocza wzrosłaby do 60 ryb i wszystko, co byłoby złowione ponad to, zostanie użyte na odnowienie starych sieci.

Oczywiście, iż w tych warunkach ilość sieci nie może być zwiększoną, gdyż odbywałoby się to z czystą stratą dla społeczeństwa. W ten sposób określona została granica naturalna wytwarzania kapitału. Wszystko, co powstaje po za tym punktem, stanowi dochód czysty, który może być spożytym lub wynagrodzonym. Jeżeli np. zyski dwuletnie potrzebne są dla odtworzenia kapitału, a on użytym zostaje przez lat trzy, to połów jednego roku stanowi zysk czysty.

Wzrost kapitału, jako zależny od natury ludzkiej, przedstawia się w sposób następujący: wielką przeszkodą dla jego nagromadzania, bądź w formie narzędzia wytwarzania, bądź jako środka spożycia bezpośredniego, jest krótkość i niepewność istnienia człowieka. Nagromadzenie kapitału wymaga wysiłków, przewyższających te, które są niezbędne dla zaspokojenia potrzeb obecnych, a człowiek z natury czuje wstręt do pracy, gdy nie jest pewny, że korzystać będzie z jej owoców. Uczucie to podlega wprawdzie zmianom pod wpływem chęci nagromadzania na starość lub dla zapewnienia bytu rodzinie i potomkom, ale ogromna większość ludzi chętniej spożywa natychmiast owoce swej pracy, niż je nagromadza w widokach niepewnej przyszłości. Wydaje się więc naturalnem, że ci, co przewidują i gromadzą, wymagają za wysiłek ten odpowiedniego wynagrodzenia, które usprawiedliwionem być może jeszcze dla dwu następujących powodów: człowiek prywatny odznacza się słabością sądu względem swych potrzeb przyszłych i brakiem woli, gdy chodzi o wysiłki dla nich.

Zdaniem Böhm-Bawerka, jest to główna przyczyna, dlaczego u ludów pierwotnych i mniej cywilizowanych, wymagana jest wysoka stopa zysku od kapitału. Przyczyny te słabną w miarę rozwoju cywilizacyi, dzięki czemu procent spada; zniknęłyby one zupełnie, a wraz z niemi procent, gdyby wszyscy ludzie stali się przewidującymi i ściśle oszczędnymi. W każdym razie stopa procentowa jest w starych krajach miarą ich postępu.

Z tego wszystkiego wypada, że istnieją zarazem potężne powody dla uspołecznienia kapitału. A mianowicie, życie jednostki jest krótkie i niepewne. To usprawiedliwia ją, jeżeli wymaga wynagrodzenia, zysku za wysiłek nagromadzania, oszczędzania — zwłaszcza jeżeli zważymy, jak wielkie kapitały są obecnie gromadzone wysiłkiem ludzi prostych i ubogich. Dodajmy przytem, iż kapitał może już być na punkcie swej reprodukcyi, wówczas jednostka musi się zadawalać tylko płacą roboczą, gdyż kapitał nie daje żadnego zysku i nie warto byłoby go w takich warunkach nagromadzać, co dla społeczeństwa byłoby klęską wielką.

Nieznajomość ze strony jednostki własnych potrzeb i słabość jej woli w sprawie nagromadzania bogactw mogłaby być korzystnie zastąpiona przez państwo, rozporządzające wiedzą i władzą. Trzeba byłoby tylko jeszcze, by usługi państwowe były co najmniej równie ekonomiczne, jak i jednostki, pod względem wytwarzania, bo jeżeli państwo, dzięki swej przezorności, mogłoby lepiej nagromadzać bogactwa, niż jednostka, to nie wiadomo, czyby mogło lepiej wytwarzać, dodajmy — lepiej i taniej, niż przedsiębiorczość indywidualna. Doświadczenie dotychczasowe w sprawie monopolów państwowych, jak np. zapałek we Francyi, dało pod tym względem wyniki jak najbardziej opłakane.

Należy jednak zauważyć, że to niczego jeszcze nie dowodzi, gdyż olbrzymie monopole wytwórcze, jak trusty amerykańskie, wywiązują się z zadania doskonale: wytwarzają taniej i lepiej, niż drobne przedsiebiorstwa pojedyncze. Nie rozumiemy więc, czemuby państwo nie mogło zczasem, bądź opanować tych trustów za pomocą odpowiedniego odszkodowania ich właścicieli, bądź też, idąc ich wzorem, stworzyć na własną rękę takich samych przedsiębiorstw, które stanęłyby do walki z trustami prywatnymi, a nawet je zwyciężyły.

Trzebaby wreszcie, by uczciwość w zarządzie grosza publicznego przez państwo, co najmniej nie ustępowała uczciwości prywatnej w tej sprawie. W takich warunkach własność społeczna kapitału mogłaby doskonale zastąpić prywatną, i cały dochód, zagarniany dziś przez jednostki, mógłby być użyty na cele publiczne.

Jak widzieliśmy wyżej, granicą naturalną wytwarzania kapitału jest punkt jego reprodukcyi za pomocą zysku; prawo to ulega zresztą zmianom ze względu na naturę człowieka, na krótkotrwałość jego życia, na słabość jego sądu o potrzebach przyszłych, jak również na słabość jego woli w ich uwzględnieniu.

Stąd wypada, że jeżeli cały dochód od kapitału użyty zostaje na jego odtwarzanie — pozostawiając płacę roboczą i rentę ziemską na inne cele — to kapitał bardzo prędko dojdzie punktu swej reprodukcyi.

W społeczeństwie ściśle ekonomicznem wszelkie ulepszenia w maszynach wywołują wzrost płacy roboczej, dzięki podwyższeniu granicy ich użycia, wywołanemu przez wzrost ilości wytworów (przypuszczając, iż potrzeby społeczne pozostały niezmienione). Jeżeli potrzeby społeczne i spożycie wzrastają, to płaca robocza wzrasta stosunkowo mniej, niż w wypadku poprzedzającym. Jeżeli potrzeby społeczne i spożycie wzrastają w tym samym stopniu,

co i przyrost wytworów (a one nie mogą go oczywiście przewyższyć), to płaca robocza pozostaje niezmienną.

Dotychczas przypuszczaliśmy, iż ludność pozostaje liczebnie niezmienną i że potrzeby i spożycie tej ludności się zmieniają. Przypuśćmy teraz, iż sama ludność wzrasta i że inne warunki pozostają niezmienne. Naprzód oczywistem jest, że jeżeli ludność, jej potrzeby i spożycie pozostają niezmienne, to cały przyrost produktu, wywołany przez ulepszenia w maszyneryi, odbywa się na korzyść płacy roboczej. Jeżeli ludność wzrasta w stosunku do wzrostu wytworów (a nie może go ona przewyższyć), to przyrost płacy roboczej jest stosunkowo mniejszy, niż w wypadku poprzedzającym.

Ze wszystkiego, cośmy powyżej powiedzieli, wypada, iż zmiana rzeczywista, wywołana przez udoskonalenia techniczne, jest rezultatem tych dwu wpływów: wzrostu ludności i jego potrzeb.

Znaczna bardzo część (około 15%) obecnej płacy roboczej była niegdyś dochodem od kapitału, ale ze wzrostem tego ostatniego i z ulepszeniami, które w nim zaszły, przeszła ona na korzyść pracy, dzięki podwyższeniu granicy użycia narzędzi. By stwierdzić to, dość wyobrazić sobie, jaki obniżający wpływ wywarłoby na pracę roboczą zniszczenie istniejących kapitałów.

Dr. L. Winiarski.

LITERATURA I SZTUKA.

Pojutrze, 19 b. m., liczne grono czcicieli złoży w Krakowie hołd królowej poezyi, Maryi Konopnickiej, z powodu jej 25-letniego jubileuszu pisarskiego. Jest to rzeczywiste święto literatury, która z głębokim pokłonem włoży na jej natchnioną głowę koronę sławy. A uwieńczy ona swą wybrankę za to, że wsłuchana z czułą miłością w uderzenia serca ogółu, wzięła najczystsze i najmocniejsze jego tony, uniosła się z nimi wysoko i rozśpiewała je w pieśniach ślicznych, rzewnych, głębokich. Smutki i radości społeczeństwa, jego ukochania i wiary, groby i kołyski, zmroki i świty, chmury i gwiazdy, porywy i zdrętwienia, wielkoskrzydłe dusze w blaskach słońca i bezskrzydłe duszyczki w prochach ziemi — wszystko to zaklęła ona w struny swej liry i wygrała na nich cudownie. Z ech tego czarodziejskiego śpiewu splótł się dla niej po 25 latach hymn chwały, którym ją dziś zblizka i zdala z czcią i wdzięcznością pozdrawiamy.

Piewca „Kirgiza."

Dość—dość żyłem nie sobie...
Duszno, ciasno, jak w grobie,
Żyć zamkniętym w ścian czterech niewoli...
Mnie tu nuda zabije!..
Ha!.. tam chyba ożyję,
Gdzie powietrze... gdzie stepów dowoli...

Któż nie zna tych zwrotek, pieniących się bujnem życiem stepu, kto wyobraźnią młodzieńczą nie pędził wraz z tym młodym Kirgizem w przestrzeń bez granic, gdzie dusza w szalonem uniesieniu rzuca się na pierś żywiołowych potęg przyrody i płacze z radości? Upływa lat sześćdziesiąt od chwili, gdy ukazała się w Wilnie maleńka książeczka, zawierająca barwne i dźwięczne strofy „Kirgiza," a powieść ta nie przestaje dotąd budzić żywego bicia serca u tych, co nie umieją wypełnić sobie żywota powszedniością, radzi duchem ulatać nad poziomy i bujać „orlim lotem Farysów."

Gustaw Zieliński dotychczas niewiele był znany publiczności; czczono w nim pamięć autora „Kirgiza," ale rysy jego duchowe, koleje życia, ogół twórczości pozostawały zawsze spowite gęstą mgłą tajemniczości. I oto zrośliśmy się z myślą, że na gęśli Zielińskiego była naciągniona jedna tylko, jak u Malczewskiego, struna, nosząca miano „Kirgiza"...

Teraz dopiero możemy zajrzeć w głąb tej duszy śpiewaczej, odkryć i nazwać po kolei wszystkie jej tajniki. Mamy przed sobą dwutomowy zbiór poezyj Zielińskiego, na który złożyły się wszystkie jego utwory, z wyjątkiem nielicznych prób młodzieńczych, przeznaczonych wyraźną wolą poety do pozostawania w ukryciu skarbca rodzinnego. Pierwsze to zupełne wydanie dzieł twórcy „Kirgiza" dokonane zostało staraniem jego rodziny; uporządkowaniem zaś tej puścizny poetyckiej zajął się Piotr Chmielowski. On również jest autorem przedmowy, zawierającej zarys życia i twórczości poety; szkic ten biograficzno-krytyczny jest tem cenniejszy, że opiera się na materyałach nieznanych: pamiętniku i listach Zielińskiego.

Na zaraniu lat piewcy „Kirgiza" świeciły te same zorze, w których blasku zbudził się do życia młody nasz, bojujący romantyzm. Urodzony w r. 1809, o pół roku starszy od Słowackiego, o trzy lata od twórcy „Nieboskiej komedyi," już w r. 1827 zapisał się na wydział prawa i administracyi uniwersytetu warszawskiego. Tak więc lata studenckie Gustawa Zielińskiego przypadają na tę samą epokę, kiedy Krasiński odbywał studya w tym samym uniwersytecie, kiedy Słowacki na skromnej posadzie bezpłatnego aplikanta w komisyi skarbu, marzył o przyszłym swoim zawodzie poetyckim...

Burza dziejowa uniosła ze sobą i naszego poetę. Żołnierz z pod Paprotni i Królikarni, oficer na wałach Warszawy, złamawszy broń pod Brodnicą, osiadł na roli w maleńkim folwarku Krzu, w powiecie Lipnowskim. Tu, w ciszy wiejskiej, pracował „nad poznaniem ludzi i samego siebie" i pogrążył się w „ocean długowiecznych rozmyślań." Tu również zostały rzucone na papier pierwsze jego próby poetyckie, z których część znalazła się nawet na szpaltach czasopism literackich. Ogółem biorąc, nie wychodzą one po nad poziom przeciętnej poprawności: niema w nich ani potęgi uczucia, ni głębi myśli, ni bogactwa słowa. Przebija nastrój łagodnej tęsknoty, melancholii żalu, bądź na tle uczuć miłosnych („Pożegnanie," „Rozstanie"), bądź też oparty na szerszej podstawie („Dobranoc," „Do Boga"). Najczęściej przemawia z nich serdecznie, lecz bez zapału, przyjaźń szczera i tęskna zarazem, jedyna ostoja moralna po klęskach i zawodach („Do przyjaciół," „Do Adama P."). Czasem powieje dech szerszy, unosząc duszę w nadziemskie strefy „młodości" („Do młodego poety"), ale nie przemawia tym językiem ognistego uniesienia i żaru, jaki takiemu przedmiotowi jedynie przystoi.

Wogóle w tym posępnym nieco młodzieńcu, obcym zdawkowej grzeczności salonów, zamkniętym w sobie, niktby nie domyślił się przyszłego znakomitego poety, którego imię miało cały kraj obiedz. Zamykał się często w swoim folwarczku z książkami i papierami, pisał pamiętnik, w którym odnajdziemy niejeden obraz ironiczny lub nawet sarkastyczny z życia towarzyskiego Płocka i Warszawy. Było w nim trochę „sensata," ale nie można go było nazwać mizantropem; dziwakiem, odludkiem, owszem lubił towarzystwo, zwłaszcza dobrane, a i na wdzięki niewieście nie pozostawał nieczułym.

Ale oto w r. 1833 zdarzył się wypadek, który wytrącił go z dotychczasowej kolei życia. Widzimy go niebawem, podążającego na daleki Wschód. Z zaciekawieniem przygląda się w drodze nieznanym krajom i ludom: Czuwaszom, Czeremisom i Wotiakom, a dusza jego, wrażliwa na piękno natury wschodniej, strasznej i cudnej w swej dziewiczej pierwotności, przejmującej grozą i czarem, tonie w uniesieniach poetyckich.

I to właśnie zetknięcie ze Wschodem nie w miniaturze, jak Mickiewicz w Krymie, ale w całej jego posępnej, dzikiej potędze, uczyniło Zielińskiego poetą...

W duszy poety rozgości się wkrótce tęsknota, nuda, pustka, przykre uczucie oczekiwania listów i zasiłków pieniężnych od rodziny, lecz to wszystko nie wstrzyma w nim już potoku twórczości, która zaczęła się w Tobolsku, gdzie przeżył „ośmiomiesięczną zimę i całoroczne nudy," a rozwinęła się w całej pełni w czasie kilkoletniego pobytu w Iszynie (1835—42), odległym o 300 mil od Tobolska.

Niezrównane są urywki jego pamiętnika z owych czasów. Występuje w nich lekka ironia, połączona ze smutkiem, nad ubóstwem własnego życia, żywy udział duchowy w rozwoju umysłowym i literackim kraju, niepokój o najdroższych. A obok tego odbijają się ciekawe spostrzeżenia z życia ludów wschodnich: Ostyaków, Samojedów, Tatarów, Bucharców, Kirgizów i zarysowują szkicowo wspaniałe obrazy przyrody stepowej.

Podróż konna w stepy była jedną z najmilszych rozrywek poety, a uczucia, których wówczas doznawał, przypominają stan ducha młodego Kirgiza w poemacie, kiedy wydarł się „jurtom kamiennym." „Widok rozległego stepu — pisze w liście do siostry — ma wiele poezyi, bo nawodzi tęskne, melancholijne uczucia i pomimowoli wzrok od ziemi odrywa. Tu imaginacya nie wykreśla owych czarodziejskich pałaców, tak jakoś właściwych brylantowym złudzeniom pustyń powieści arabskich; owszem, zadymiony koszowy namiot Kirgiza, koń jego i trzody lepiej się układają do obrazu, którego tłem zieloność stepu, a ramami — zapadający, błękitny niebosklon.

Obrazy natury i życia wśród stepów, uchwycone poetycką wyobraźnią Zielińskiego, znajdą się niebawem w dwu poematach, najbardziej typowych dla jego talentu: „Stepy" i „Kirgiz." I odtąd zaczyna się właściwa twórczość poety. To bowiem, co przedtem zostało napisane, nie świadczy o samodzielności duchowej, z wyjątkiem jedynie dwu wierszy lirycznych, „Widok na Powązki" i „Odjazd," które przejmują głębiej liryzmem. Inne próby pierwszego okresu twórczości wskazują, że poeta nie poczuł jeszcze samego siebie. „Samobójca" np., poemat w czterech pieśniach, prócz wspomnień i refleksyj osobistych, zresztą dość su-

chych i dydaktycznych, zwłaszcza w części drugiej, zawiera bardzo niewiele pierwiastków samoistnych. To przypomni nam się jakaś scena z „Maryi“: Miecznik z córką pod lipą, lub pogrzeb, przy wtórze modlitewnych szeptów kobiet ukraińskich; to samotny strzelec przywiedzie na myśl Gustawa z „Dziadów“; to scena polowania — wywoła wspomnienie łowów na sumaka w „Żmii“; tu i owdzie ozwie się myśl jakaś z „Rusałek“ Zaleskiego, z „Sonetów krymskich,“ z „Kordyana.“

Zaczęty jeszcze w Krzu, a skończony 1839 r. dramat historyczny, „Zbigniew,“ przez samego autora uznany został za niegodny druku, nawet w wydaniu pośmiertnem.

Ale niebawem rozszerza się widnokrąg poety: dusza jego wchłania szerokie powiewy wichru stepowego. Już w kilku drobnych utworach opisowych, zjednoczonych pod wspólnym tytułem „Na stepach,“ czujemy, że pierś nasza wznosi się wyżej i innem już oddycha powietrzem; czasem przypomni nam się jakiś motyw literacki, np. w urywku „Orzeł“ — zmaganie się jeźdźca z sępem w „Farysie,“ ale odczuwamy jednocześnie bezpośredniość wrażeń poety-wędrowca.

Poemat opisowy p. t. „Stepy“ jest niejako przygotowaniem do „Kirgiza.“ Dwa pierwiastki składowe tego ostatniego, natura stepowa i koczujące życie Kirgizów, znajdą się i w pierwszym, lecz jeszcze niedostatecznie zharmonizowane. Szczegóły etnograficzne zarówno w ciągu podróży, jak po przybyciu na miejsce, budziły w poecie żywe zaciekawienie. Oto, co pisze w przedmowie do „Stepów“ o Kirgizach: „Jako naród, na najniższym dopiero stopniu cywilizacyi stojący, mają wszystkie wady ludów, które się z dzikości nie otrząsły; są chciwi, nieszanujący cudzej własności, niedotrzymujący słowa, mianowicie innowiercom, leniwi, w zemście okrutni, za to: gościnni, miłosierni dla biednych, odważni niekiedy do zuchwalstwa, przywiązani do swego pustynnego kraju i przekładający życie biedne, koczownicze, pełne trudów, nad wszelkie rozkosze i przyjemności żywota osiadłego. Charakterystycznym jednak rysem ich obyczajów jest *baranta*, to jest nocne pochwycenie jeden drugiemu całych stad i tabunów koni. Przytaczamy tu szczegóły obyczajowe, gdyż wejdą one niebawem w skład „Kirgiza.“

W „Stepach“ jest spora wiązka obrazów, w pewnej mierze nawet dość plastycznych; brak jednak pomiędzy nimi łączności organicznej.

Poemat zaczyna się pięknym opisem zawiei zimowej w stepie:

Czyś widział stepy? gdy w dzień zimowy
Z północy chmura zaciągnie śnieżna;
I nigdzie schrony dla twojej głowy,
Bo w krąg pustynia biała, lubieżna,
A przy rosnącym co chwila wietrze.
Straszliwa zamieć zaćmi powietrze...
Biedny wędrowczę!... w złą się godzinę
Wybrałeś w podróż; patrz!.. jak szalony
Wicher, jak wielka, całą równinę
Naraz silnemi ująwszy szpony,
Łono jej białe rozrywa, porze,
Rwie aż pod niebo i w kłębach pędzi.

Tu już pewni jesteśmy, że obrazu tego nie podyktował Zielińskiemu ani Mickiewicz, ani Słowacki, ani Malczewski, że on sam podsłuchał, odczuł i ponury skowyt wiatru, i grozę rozhukanego żywiołu, i przenikliwy szept śmierci, wysuwającej się z mroków...

A jednakże rozjaśni nam się dusza, gdy odczytamy na następnej karcie opis wiosny w stepie, tego potopu słońca, lazuru, zieleni i kwiatów! Kiedy usłyszymy gromką pobudkę poety do zanurzenia się w tym oceanie bezbrzeżnym („Ha, dalej w stepy! niema przeszkody!“). I nie może tu być mowy o naśladowaniu „Bajdar“ lub „Farysa,“ bo Mickiewicz widział Wschód tylko w „miniaturze,“ Zieliński zaś w całym jego posępnym i potężnym zarazem majestacie.

Druga część poematu („Góry“) jest o wiele słabsza od pierwszej: pierwiastku opisowego bardzo tu niewiele, mniej, niż w przytoczonym powyżej liście do siostry, gdzie mowa o górskich widokach kraju Kirgizów; za to sporo dydaktyzmu, teologii i kosmogonii bramińskiej i buddyjskiej. I dopiero pod koniec tego urywku, kiedy wzrok poety zwrócił się na południe, ku Indyom, ocknął się duch jego drgnieniem wielkiem i szlachetnem:

O! Paryów rodzie!... nic-że cię nie budzi
Z twego letargu?... podobny do płazu
Czyż wiecznie pełzać będziesz? i ni razu
Nie westchniesz?.. abyś należał do ludzi!

„Chciejcie być wolni!“ — krzyknął im poeta z gór szczytu, sądząc, niebaczny, że głos jego spadnie, jak lawina, jak odłam granitu, „w proch zetrze butwiejące wiary i ledwie prochem świecące ich trony“; „świat strupieszały odmłodni na duchu.“ Napróżno!

Przebój!.. tak cicho!... w krąg sterczące skały
Głosu mojego całkiem nie odbiły;...
Cóż chcieć od ludzi,... gdy echa się skryły...
Widać — słów moich powtórzyć się bały.

Kończy się ta część zapowiedzią poety, że uda się w stepy, bo tam „znajdzie narody, z rdzy barbarzyństwa jeszcze nie odarte, lecz od spodlonych Paryów więcej warte — bo w nich ślad dzikiej pozostał swobody.“ I zaraz w trzeciej części („Bajga“) widzimy go, gościnnie podejmowanego w obozie Kirgizów, którzy, pod przewodnictwem dobrego i mądrego sułtana Kodara, zbierają się na wiosenne igrzyska. I tu po raz pierwszy w utworach Zielińskiego stajemy oko w oko z tym ludem koczowniczym, pierwotnym, dzikim, zaborczym i mściwym, ale nie pozbawionym uroku poetyckiego; a najsympatyczniejszą cechą charakteru tego plemienia pasterzy i grabieżców jest wielka, żywiołowa miłość stepu, powietrza, jasności i swobody.

Kirgiz — człek wolny...
Jak wiatr w pustyni zapór nie spotyka,
Tak on swobodzie swej nie widzi końca,
Póki ma stepu, powietrza i słońca...

I dlatego właśnie młody bohater „Kirgiza“ czuje się tak nieszczęśliwym w „jurtach kamiennych“; dusza jego rwie się do nieobjętych wzrokiem obszarów równin stepowych:

Bom na stepach się rodził;
Wiatr pustyni mnie chłodził,
Gdym na koniu, biegł stada dozierać...
Ciągle widzę niebiosy
I step lśniący od rosy...
Ach! tam tylko żyć i umierać.

A skoro się ujrzał w morzu traw i kwiatów, doznał takiego samego uczucia, jak Farys na krańcach pustyni, który „wyciąga ku światu ramiona uprzejme“ i oddycha tak szeroko, że „całe powietrze w Arabistanie ledwie mu na oddech stanie.“ Kirgiz również:

Zatrzymał konia, spiął się w strzemieniu,
Rozpostarł ręce z czuciem dziecinnem,
Aby po długiem, długiem cierpieniu
Odżyć powietrzem stepu gościnnem.
Jemu się zdało—czystsze i letsze,
A więc je chwytał z takim pośpiechem,
Jakby chciał jednym, pełnym oddechem
Objąć w pierś całe stepu powietrze,
I długo, długo, jak ten, co łaknie,
Bał się, czy jemu tchnień nie zabraknie.

Takim jest bohater poematu, prawdziwy syn stepu, jak on, dziki i jak on straszny w przejawach swej siły namiętnej. To nie kozak z „Maryi,“ jak step ukraiński, tęskny, rzewny, melancholijny; to dziecię natury pierwotnej, która nie zna jeszcze żadnych wędzideł.

To też Kirgiz dostraja się doskonale do kolorytu przyrody miejscowej, zwłaszcza gdy rozigrają się w stepie żywioły. A opis burzy, obok wstępu i zakończenia: pożaru traw w równinie stepowej, należy do najpiękniejszych i najpotężniejszych.

I taką jest i miłość tych nieodrodnych dzieci natury: to nie miłość naszych salonów, „łkań słów jedwabnych, zręcznych pokłonów na tle wybladłem czczej etykiety“ — o nie! to miłość stepu, „gwałtowna, dzika, która dwa serca nawskróś przenika i taki pożar nieci wśród łona, jak iskra w składy prochu rzucona,“ miłość bez „tęsknic,“ „marzeń,“ „jakieś morze uciech, rozkoszy, pieszczot edeńskich...“

To właśnie poetyckie i wierne zarazem odtworzenie bohaterów wschodnich i ich środowiska plemiennego stanowi największą krasę poematu; i ono też odrazu zwróciło na „Kirgiza“ uwagę czytającego ogółu, który odczuł, że ma u Zielińskiego ludzi żywych, Azyatów z krwi i ciała, nie cywilizowanych Europejczyków, poprzebieranych w turbany i kalemkiary.

Nie może tu wszakże być mowy o zupełnej ścisłości etnograficznej. Bo i trudno jej wymagać od romantyka, któremu obce były zgoła hasła realizmu w sztuce. Zastrzedz się należy, że jak step w jego poemacie zachował tylko pewną część rzeczywistej grozy, tak i postacie bohaterów są, bądź co bądź, nieco wyidealizowane. Znamienne są pod tym względem słowa przyjaciela poety, Adolfa Januszkiewicza, który po przeczytaniu pierwszych zwrotek „Stepów“ pisał do niego: „Wstęp twej nowej kirgiskiej powiastki, jakkolwiek piękny, świetny, brylantowy, nic nie wart. Trzeba nie widzieć kirgiskiego stepu, żeby prawić o błękitnych wzgórzach, sinych falach jeziora, kwiatkach pamięci — niezabudkach!!! Tyś sobie nabił głowę, jak widzę, że step Tamerlanów jest to Arkadya, kraj zielonych łąk, szemrzących strumyków i pasterek, nucących idylle. Nie, bracie!.. Nasz step nie przedstawia się podróżnemu w tym wabnym i pieszczonym stroju, w jaki ty go ubierasz; ma on swoje piękności, lecz właściwe sobie: dzikość, niepłodność, niedostatek wody: oto są ogólne jego cechy.“

Bądź co bądź, ten oryentalizm „Kirgiza,“ jakkolwiek w wymuskanej cokolwiek postaci, był tak różny od arabsko-beduińskich fantasmagoryj innych drugorzędnych poetów, że pociągnął serca i zjednał swemu autorowi szeroką i niegasnącą popularność. A owa żądza pełni życia, uosobiona w bohaterze, zobrazowana w jego szalonym pędzie i zmaganiu się z burzą, będzie zawsze miała urok nieprzeparty...

Ostatnia epoka życia Zielińskiego, jego posługi i zasługi społeczne na zaszczytnych stanowiskach radcy, przewodniczącego zgromadzeń, członka komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego i Towarzystwa rolniczego, należy już do historyi powiatu i gubernii, w której działał, nie zaś do dziejów piśmiennictwa. A po „Kirgizie“ nic już nie napisał równego. „Koń Beduina,“ powiastka, do której wątek dał pewien epizod z „Podróży na Wschód“ Lamartine'a, należy już do ogólników poezyi oryentalnej, jak również i fantazya prozą p. t. „Antar.“ Poemat alegoryczno-stepowy, „Pokuty,“ nie dorówna „Kirgizowi“ pod żadnym względem. Ostatni zaś dłuższy utwór Zielińskiego,“ kilka scen dramatu fantastycznego „Czarnoksiężnik Twardowski,“ jest to rzecz zupełnie szablonowa.

Tak więc powiedzieć można, że żywy przebłysk talentu Zielińskiego rozgorzał i zagasł w stepach kirgiskich.

H. Galle.

Emil Zola.

II.

Zola, pomijając drobniejsze utwory początkowe, stworzył kilka cyklów powieściowych (*Rougon-Macquart*, *Les Trois villes*, *Quatre Evangiles*), które zostały wykonane, podług planu z góry ułożonego, na podstawie materyału, uzbieranego w ciągu długiego szeregu lat. Materyały te, czerpane ze źródeł specyalnych, odpowiadały z góry powziętemu tematowi każdego utworu. W takich warunkach, gdy się dobiera treść do ram poprzednio utworzonych, spostrzeżenia bezpośrednie ustają, twórca nie korzysta z wrażeń osobistych, buduje na podstawie cudzych. Wprawdzie ufa tym wrażeniom i doświadczeniom obcych spostrzegaczy, jako zgodnym z rzeczywistością, którą zamierza odtworzyć, w każdym razie jednak wykracza w ten sposób przeciwko zasadzie twórczości naturalistycznej, wymagającej by autor stwarzał dzieła swoje z doświadczeń własnych, z wrażeń kontrolowanych osobiście. Zola zasadzie tej nie czynił zadość. Szczegółów dostarczały mu książki, badania specyalistów, dokumenty, zbierane przez innych, — on to wszystko brał, przekształcał, opracowywał, zgodnie z temi formułami, ideami i wyobrażeniami, jakie wyrobił sobie o wszechświecie. Wyobrażenia te były oparte na badaniach przedmiotowych, na wynikach nauki, w każdym razie jednak, pomijając nawet błędność niektórych teoryj naukowych i powierzchowność ich uogólnień, dużo w tem było pierwiastku subjektywnego, sporo uprzedzeń i tendencyj z góry powziętych. I tu właśnie działała ta władza, którą Zola pragnął powściągnąć i prowadzić na pasku wiedzy przedmiotowej, działała: wyobraźnia. Była ona u Zoli potężną i przesadną, skłonną do powiększania i upraszczania zjawisk, podlegała halucynacyom i zaślepieniom, wytwarzała wizye: to wszystko jak najmniej również sprzyjało wiernemu i beznamiętnemu odtwarzaniu rzeczywistości. Dzięki jej właściwościom, pod wpływem jej skłonności do epickiego wyolbrzymiania zjawisk bytu, Zola odbierał od niego wrażenia jak najbardziej swoje, indywidualne. Był on radykalnym „idealistą“ w tem znaczeniu, że pojęcie o świecie, wytworzone w umyśle własnym, narzucał mu, że nie był niewolnikiem przedmiotów, lecz owszem ich władcą. Zola odebrał od świata kilka wrażeń najogólniejszych i pod ich kątem rozważał jego sprawy i przemiany. A więc: świat ludzki wydał mu się jedną wielką widownią zapasów nieubłaganych, walką zaciętą o chleb, o miłość, bądź o przewagę społeczną. W zapasach tych przewodzą siły żywiołowe, powszechne, występujące, na wszelkich stopniach kultury i uspołecznienia, w postaci pierwiastkowej, odartej z osłonek cywilizacyjnych. Ścierają się tu przedewszystkiem czucia i instynkty, krew uderza na krew, ciało na ciało, żądze występują przeciwko żądzom, a gwałt ich jest tak wielki, rozmach tak niepowstrzymany, że to, co stanowi delikatniejszy pierwiastek istoty ludzkiej, co jest szlachetniejszą postacią duszy, nie wydobywa się na wierzch, przestaje być czynnem, w tym zamęcie potęg pierwotnych, brutalnych.

Kiedyś Zola, krytykując bohaterów Stendhala mówił o nich drwiąco, że wyglądają tak, jakby wciąż mieli migrenę, tak bowiem autor udręcza ich umysł, tak niespokojnie każe wciąż pracować ich mózgowi. Cierpię z ich powodu — powiadał Zola — i radbym autorowi powiedzieć: zostaw ich na chwilkę w spokoju, pozwól im czasami żyć, dobrem życiem zwierząt, prosto, wśród natury zdrowej, w rozgwarze instynktów... Otóż swoim bohaterom pozwalał Zola żyć jak najzupełniej „dobrem życiem zwierząt,“ życiem instynktów nieokiełznanych. Dobrze jeszcze, gdy to wszystko wychodziło na jaw „wśród natury zdrowej,“ bezwiednej i naiwnej, wówczas nawet życie miało coś z sielanki, nosiło charakter względnie łagodny, jak np. w niektórych scenach z *Conquête de Plassans*, z *Une page d'amour*, nawet z *Au bonheur des dames*. Najczęściej jednak roztaczało się ono wśród natury, zatrutej w swych źródłach, zwyrodnionej, o krwi zepsutej i nerwach potarganych, znieprawionej w uczuciach, szalonej w instynktach, kryminalnej w popędach. I wówczas to roztaczały się przed nami ponure i krwawe obrazy z cyklu *Rougon Macquart'ów*, wówczas występowały szały zmysłów, udręczenia mózgów uwstecznionych, pragnienia umysłów monomańskich, lub głuche i rozpętane wybuchy tłumu, mas ludzkich, miotanych chęcią odwetu, rwących więzy ucisku i upośledzenia społecznego. Bo — pomijając życie duszy tłumu — Zola olśniony teoryami przyrodników, co do dziedziczności cech fizyologicznych i umysłowych, pragnął wykazać ich słuszność i doniosłość dla spraw życia ludzkiego. Jako powieściopisarz, zamierzający pogrzebać na zawsze konwencyonalne sposoby odtwarzania życia, i nie stworzyć ani jednego manekina ludzkiego, a tylko ludzi, działających „pod wpływem wszystkich swoich organów“ — pragnął wyzyskać te dane nauki, to światło wiedzy o człowieku, wnikające w ciemnie jego życia, odsłaniające poplątane związki szeregu pokoleń, wspólne podścielisko ich bytu, różne przyczyny i oddziaływania nieuknione, które jednostkę ludzką kształcą, pomimo jej woli, i prowadzą do nieznanych jej przeznaczeń.

Jako twórca, przejęty grozą i tragicznością, tych różnych przyczyn ukrytych, tych nagłych zwrotów dziedziczności, połączył bohaterów swoich nićmi tajemnemi, poddał działaniu sił nieubłaganych, napiętnował ich fatalizmem krwi i ducha przodków, uczynił z nich ofiary, prowadząc jednych ku zbrodni, innych wypełniając niepokojem zmysłów nienasyconych, wściskając w duszę każdego jakieś skłonności, upodobania i pragnienia fatalne, nad któremi od wieków zawisła kara.

A każdą rzecz przytem podniósł do stopnia najwyższego, każdą siłę uczynił nieodpartą, niszczącą, mistyczną, gdyż tego wymagała jego wyobraźnia hiperboliczna, jego temperament twórczy, przez którego pryzmat oglądał wszelką rzeczywistość. Niedość, że uzależniał ludzi od całego ich dziedzictwa fizyologicznego, lecz prócz tego każdą jednostkę ludzką poddał wszechwładzy tego środowiska społecznego, w którem jej życia upływało. Dlatego w utworach jego spotykamy mało osób, działających z jakąś wyraźną świadomością władz ducha; niewiele tu istot samodzielnych, natomiast spotykamy jednostki bezcielesne, nieosobiste, podniesione niejako do znaczenia potęg mistycznych, które wytwarzają dokoła siebie ruch i życie, kształtują ludzi podług woli swojej, na wzór natury własnej. Są to instytucye życia zbiorowego, przedmioty, ku którym ciąży życie jednostek, składających daną gromadę ludzką. Raz będzie to olbrzymi magazyn (*Au bonheur des dames*), albo kopalnia (*Germinal*), innym razem giełda (*l'Argent*), katedra (*Le Rêve*), albo miejsce cudowne (*Lourdes*) itp. Są to potęgi zewnętrzne, ożywione przez Zolę siłą twórczą, które działają na skupienia ludzkie, złożone z jednostek różnych, o sprzecznych temperamentach i charakterach—ujednostajniają ich życie, przejmują wspólnym duchem i zacierają ich indywidualność.

Tego rodzaju wrażenia odbierał Zola od rzeczywistości, tak przemawiał do jego wyobraźni świat zewnętrzny. To też w jego dziełach nie jest on odtworzony przedmiotowo, ze ścisłością i dokładnością zdjęć fotograficznych, lecz przetworzony subjektywnie, na podstawie wizyi wewnętrznej, utrzymywanej przez wrażenia powyższe w napięciu niepospolitem. Treści do utworów dostarczyło Zoli głównie społeczeństwo francuskie ostatniego cesarstwa (cały cykl *Rougon Macquartów*). Przedstawił on, rzekłbyś w olbrzymich malowidłach ściennych, grę rozmaitych jego żywiołów, warstw i sfer, różnych jego sił i czynników, wplatając w stosunki, przez nie wytworzone, historyę „naturalną i społeczną“ jednej rodziny, której rozgałęzienia rozchodzą się na całe jego dzieło, której losy były z góry postanowione i wyprowadzone z jednego źródła, z faktu pierwiastkowego, odbijającego się w każdej postaci, jakąś osobliwością ducha lub ciała, jakiemś ich zboczeniem, uwstecznieniem bądź wyrafinowaniem, niemocą bądź też siłą fizyczną i moralną. Objął on tu w obrazach i scenach jaskrawych rozmaite dziedziny życia tego społeczeństwa, pokazał nam zasadnicze jego czynności, jak kocha i spodziewa się, jakie ma ambicye i pragnienia, jak pracuje i używa wczasów, jak zdobywa stanowiska życiowe; pokazał, jak ścierają się z sobą antagonistyczne jego żywioły, jak się nienawidzą między sobą, jakie mają względem siebie uroszczenia i jakie krzywdy chcą powetować. Uwidocznił demoralizacyę warstw niższych i wyższych, wydobył na jaw zepsucie, ambicyę i chciwość sfer kierowniczych, ich matactwa i pogoń za użyciem, ich egoizm i brutalność wyzysku; odsłonił gangrenę sfer niższych, przyczyny ich nędzy fizycznej i umysłowej, — wywołał, można powiedzieć, potworne widmo ducha Francyi, zżartej przez alkohol, przez żądze zmysłowe, Francyę uczuć poziomych, nerwów nadwątlonych, impulsów występnych, woli rozluźnionej, żądz gwałtownych, maniackich.

Wszystko, co tu było zgodne z rzeczywistością, zostało sensacyjnie podkreślone, wyolbrzymione i jednostronnie oświetlone, by wrażenie wywołać tem okropniejsze, odsłonić widok ponury, groźny i zatrważający. Mając to na względzie, zapożyczał nieraz umyślnie barw swoich od nocy, pióro maczał we krwi lub grzebał się w kupach brudu, albo otwierał głębiej rany ohydne, by z tego wszystkiego wiało tem mocniej na czytelnika atmosferą gnicia, rozkładu wewnętrznego, by przejąć go tem silniejszem poczuciem fatalności i tragizmu.

Czy w tem się lubował, czy miał głównie to na względzie, czy nie widział w życiu nic, prócz tego, i czy nie pragnął widoków radośniejszych, krzepiących serce? Pragnął, przewidywał, wierzył w ich możność, wskazywał nawet drogi, które do nich prowadzą. Co więcej, nawet wśród zepsucia, gangreny i zwyrodnienia, dostrzegał siły, działające zbawiennie, odradzające treść gnijącą. Zola miał wielkie złudzenia, wierzył w szczytność takich czynników, jak miłość i praca, otaczał je czarem poezyi, nawet wówczas, gdy występowały dość brutalnie, jako siły bezwiedne. Były one dla niego podstawą odrodzenia życia, jego duchem twórczym, zapowiadającym lepszą przyszłość. Zarzucano zwykle naturalizmowi, że jest obojętny na dobro i zło, nie wierzy w postęp ludzkości, w możność życia uporządkowanego, na podstawach sprawiedliwości społecznej, że wątpi o skuteczności wysiłków myśli ludzkiej itd. Otóż Zola pod tym względem był najbardziej zdecydowanym idealistą. Wierzył w potęgę ducha ludzkiego, co ujarzmia materyę, zbrojny w zdobycze nauki, wierzył w postęp i różnicowanie się życia społecznego, w duchu miłości i sprawiedliwości, ufał w hasła przyszłości i, być może, to swoje zaufanie do nich i nadzieje stwierdzał, piętnując bezwzględnie przeżyte formy cywilizacyi współczesnej, stosunki i porządki, oparte na wyzysku, na zabiegach grup

i jednostek ludzkich, chciwych łupu i ujarzmiania innych. Otwierały się przed jego umysłem wizyonerskim widoki wyższego życia, nieraz nawet zbyt marzycielskie, naiwne lub utopijne, jak tego złożył dowód, między innemi, w utworze p. t. *Le Travail* (z „Czterech Ewangelij“), gdzie społeczeństwu znieprawionemu i podtrzymującemu wady i grzechy swego ustroju, przeciwstawił harmonijny świat poświęcenia i miłości, pracy, której wyniki idą na korzyść ogółu, a którą organizują nie chciwe instynkty i namiętności indywidualne, lecz poczucie obowiązków względem gromady i wyższe formy sprawiedliwości zbiorowej.

Robiono zarzuty i Zoli i naturalizmowi, że nie zna litości i współczucia dla nędz ludzkich, dla pokrzywdzonych i opuszczonych. I tu Zola przynajmniej odstępował od przedmiotowości, głoszonej przez doktrynę naturalistyczną i wzruszał się tem wszystkiem. Dość sobie uprzytomnić sceny z *Germinala*, z *Lourdes*, z *Débacle* i tym podobnych utworów, żeby się przekonać, iż współczuciem swojem ogarnął nędze i cierpienia tłumów upośledzonych, że wyrozumiewał z sympatyą i litością wszelkie jego szały i złudzenia, podzielał jego pragnienia poprawy losu, nawet wówczas, gdy na wysiłki jego, wierzenia i nadzieje spoglądał sceptycznie, a w jego miotaniach się żywiołowych widział objawy zezwierzęcenia i chuci brutalnych. Współczucie i troska Zoli o dobro tłumów płynęły naturalnie z jego kultu życia zupełnego, rozwijającego się z najwyższym pożytkiem jednostki, życia płodnego i niepowstrzymanego w rozwoju, którego wszelkie potrzeby zaspakajane są należycie, a suma cierpień sprowadzona do *minimum*.

Tu jeżeli Zola czem grzeszył, to nie obojętnością, lecz raczej czasem utopijnością i marzycielstwem, od których tak się odrzekał w teoryi, jako powieściopisarz-naturalista.

Wł. Jabłonowski.

Notatki literackie i artystyczne.

PSYCHOLOGIA. W. Heinrich: „Teorye i wyniki badań psychologicznych,“ cz. I: Badanie wrażeń zmysłowych, c. 1 rb. 80 kop., wyd. z zapomogi Kasy Mianowskiego, skł. u Wendego.

— W. James: „Pogadanki psycholigiczne dla nauczycieli,“ przekł. S. Moszczeńskiej, dodatek do „Przeg. Pedagogicznego,“ skł. u Arcta.

— H. de Raaf: „Psychologia elementarna,“ K. Król i S. Moszczeńska (dodatek „Przeg Pedag.“), skł. u Arcta.

— Dr. fil. Oskar Altenberg: „Zagadnienia prakt. z filozofii wychowawczej,“ przekł. J. Moszczeńskiej, skł. u Arcta.

MEDYCYNA I HYGIENA. Dr. L. Bregman: „Leczenie pijaków i walka z alkoholizmem.“

— Dr. St. Serkowski: „O badaniu przez lekarzy produktów spożywczych, dostarczanych do szpitali.“

— Dr. K. Rozenfeld: „Hygiena pielgrzymek na Jasną Górę,“ odczyt wypowiedziany w Częstochowie.

— Dr. L. Wernic: „Jak ratować tonących,“ skł. u Gebethnera i Wolffa, c. 10 kop.

— Dr. Zaleski: „Sprawa pomocy lekarskiej na tle obecnej organizacyi.“

PRZYRODA. W. Małkowski: „Wykaz systematyczny wszystkich ptaków krajowych.“

GOSPODARSTWO. Martą Narkowska: „Najnowsza kuchnia,“ Gebethner i Wolff.

KSIĄŻKI DIA WSZYSTKICH, wyd. Arcta.

— St. Brzozowski: „Co jest filozofia i co o niej wiedzieć należy.“ Cz. II od Kanta. 15 kop.

— Brzozowski: „Polacy w Ameryce,“ 15 kop.

— M. Egidy: „Wychowanie dzisiejsze,“ 10 kop.

— Dr. Ołtuszewski: „Zboczenie mowy,“ 10 kop.

— G. Tołwiński: „O zaćmieniach słońca i księżyca.“ c. 10 kop.

— L. Wolberg: „Jak żyć, aby być zdrowym,“ 10 k.

— Dr. E. Mach: „O widzeniu — O symetryi.“ 10 kop.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z POWODU NOWEJ PRACY

O PRZEMYŚLE POLSKIM.

„Rozwój przemysłu wielkiego w Królestwie Polskiem odbił się wybitnie na jego ustroju społecznym i życiu publicznem. Powstaje liczny proletaryat miejski, równocześnie zaś u góry społeczeństwa wyodrębnia się, nakształt pianki, klasa bogatych finansistów. Wdarły się do Polski nowe sprawy i nowe myśli, ścierające się z sobą i roznamiętniające serca i umysły. Powstaje literatura, odtwarzająca nowe prądy życiowe. Dawna Polska, romantyczna, pozostała gdzieś w dali, we współczesnej zaś wszystko nowe, młode i pełne żywotności.“

Temi słowy jeden z publicystów rosyjskich, p. Illinicz, kończy pracę swoją o rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem *), gdzie w barwnym, żywym i sumiennie opracowanym zarysie przedstawiony został rozwój historyczny nowożytnego przemysłu Królestwa i wykazany dobitnie jego czysto rodzimy charakter, mający podstawy trwałe w otoczeniu własnem.

Przemysł Królestwa niezawsze miał szczęście do swych dotychczasowych badaczów. Po prof. Janżule, sumiennym znawcy warunków ekonomicznych, wykształconym gruntownie, lecz, niestety, niedostatecznie obeznanym z przeszłością kraju i społeczeństwa, miała nieszczęście wziąć się do pisania historyi przemysłu raczej złośliwa, niż sumienna publicystka, p. Róża Luxemburg. Podjąwszy się z góry dowieść powziętych uprzednio twierdzeń, potrzebnych jej do celów najzupełniej ubocznych, autorka przez swą bezwzględność w tym kierunku zupełnie prawie pozbawiła swą rozprawę wartości naukowej. Następni zaś publicyści - historycy przemysłu, pp. Henryk Radziszewski i Stanisław Koszutski, nie odważyli się wystąpić stanowczo przeciwko swym poprzednikom i poprzestali na ich uzupełnieniu, prostując najwyżej najbardziej rażące błędy, lub zbyt widoczne i zbyt daleko idące tendencye.

Więcej publicystą, niż historykiem, jest także p. Illinicz, lecz po raz pierwszy występuje on stanowczo przeciwko niektórym utartym już poglądom, przyjętym bezkrytycznie przez ogół. Przemysł Królestwa, zdaniem jego, to nie sztuczny wytwór, zapoczątkowany przez instytucye rządowe, wykołysany przez warunki wyjątkowe, obcy własnemu otoczeniu, zawdzięczający jedynie swój żywot rachityczny troskliwej opiece rządu, oraz wszelkiego rodzaju cłom protekcyjnym i prohibicyjnym, a ze zmianą ubocznych i przypadkowych warunków politycznych zagrożony śmiercią na anemię. Obrazowi temu, skreślonemu z niewątpliwym talentem publicystycznym przez p. Luxemburg i popartemu nawet mnóstwem cyfr, praca p. Illinicza zaprzecza stanowczo, wykazując w nim kłamliwość zestawień statystycznych i cały szereg zbyt pospiesznych wniosków.

Za źródło przemysłu polskiego nie można uważać osobistej polityki ministra Lubeckiego i innych mężów stanu Królestwa, naśladujących umiejętniej i poniekąd w lepszych warunkach osławione próby magnatów doby Stanisławowskiej, w rodzaju podskarbiego Tyzenhauza. Jak te ostatnie mogą jedynie świadczyć o znacznej już popularności przemysłu w dawnej Polsce, skoro nie wstyd było zająć się nim magnatom, niedawno jeszcze pogardzającym łokciem, miarką i rzemiosłem, tak polityka rządu Królestwa konstytucyjnego może być uważaną jedynie za wynik działalności możnego już wówczas mieszczaństwa, umiejącego chodzić około swych interesów.

Pięćdziesięcioletni okres dziejów naszych, zakończony katastrofą 1830—31 r., jest też właściwie epoką silnego naporu mieszczaństwa na rząd i powolnego, lecz nieustannego przetwarzania się społeczeństwa szlachecko-klerykalnego w nowożytne. Przy końcu w. XVIII mieszczaństwo polskie, wstrzymane brutalnie od lat dwustu w swym świetnym rozwoju przez bezwzględną politykę agraryuszów szlacheckich, odradza się i staje do walki o prawa do dalszego bytu. Mając w swych rękach przemysł w Koronie, dość znaczny, ażeby przetrzymać wielkie kryzysy 1793 i 95 r., silne przez to ekonomicznie, znajduje ono sojusznika w inteligencyi zawodowej i w warstwach średnio i drobno-szlacheckich, występujących przeciwko panującej wówczas niepodzielnie oligarchii magnatów. W walce tej mieszczaństwo zdobywa sobie opinię publiczną i publicystykę, ma za sobą najświatlejsze umysły w kraju, otrzymuje też dogodne ustawy zasadnicze z r. 1790, prawo o miastach z 18 kwietnia 1791 r. i wreszcie konstytucyę 3 maja, pierwszy poważny krok do przekształcenia ustroju Rzeczypospolitej ze stanowo-szlacheckiego w klasowo-plutokratyczny. W walce z reakcyą magnacką, utrudnioną przez wmieszanie się mocarstw ościennych, mieszczaństwo w chwili stanowczej opuszczone zostało przez sojusznika-szlachtę, którą zniechęciło do walki potrącające o jej interesy nadania pewnych ulg włościanom. I ono więc ulega i cofa się do życia czysto-ekonomicznego. Rola mieszczaństwa w ostatnich chwilach Rzeczypospolitej, nawiasem mówiąc, przeczy stanowczo teoryi p. Luxemburg, uważającej stan ten za wrogo usposobiony względem haseł opozycyi narodowej, reprezentowanej, zdaniem jej, wyłącznie przez magnatów i szlachtę. Wobec zupełnego u nas braku statystyki, trudno, a nawet dziś wprost niepodobna przedstawić dokładnie rozwój ekonomiczny krajów polskich na przełomie wieków XVIII i XIX. Ze znacznego jednak wzrostu miast w tym czasie wnosić można, że przemysł nie upadał bynajmniej. Na rozwój jego wpływał zresztą dodatnio napływ kapitałów niemieckich do kraju, kredyt ułatwiony przez rząd pruski i znaczna podaż fachowych sił niemieckich. Dowodem zresztą dość ożywionego wówczas przemysłu jest znaczna ilość zakładów przemysłowych w niżej ekonomicznie stojącej dzielnicy austryackiej, przyłączonej w 1809 r. do Księstwa; liczono tam wówczas: 14 fabryk żelaza, 11 hut szklannych, 30 kilka fabryk sukna i wiele innych zakładów przemysłowych.

W Księstwie Warszawskiem i w Królestwie Kongresowem widzimy również owoce energicznej działalności mieszczaństwa. Rząd tak wybitnie militarnego państewka, jak Księstwo, wśród zawieruchy wojennej wydaje cały szereg ulg i przywilejów dla napływających sił fachowych i finansowych, reguluje ustawy celne. Rząd zaś Królestwa Kongresowego znaczną część prac swoich poświęca sprawom ekonomicznym, przeważnie właśnie przemysłowym. Założenie Banku Polskiego, taryfa celna 1822 r.*), zapomogi rządowe dla prze-

---

*) I. Illinicz: *Oczerk rozwitija polskoj promyszlennosti. Nauczoje Obozrenje* za kwiecień, maj i czerwiec r. b.

*) P. Luxemburg uważa taryfę celną z 1822 r. za krok „bezsensowny“ ze strony ministeryum rosyjskiego, i korzystną jedynie dla Królestwa. Zdanie to jest do gruntu fałszywe i oparte na bardzo dowolnych kombinacyach statystycznych. Biorąc np. cenę rocznego wywozu sukna do Cesarstwa, wyrażoną w ru-

mysłu w sumie 127,000 rocznie, założenie Izb przemysłowych, rozumne przepisy drogowe i wiele innych ustaw świadczą wymownie o nieustannej trosce rządu o rozwój przemysłu krajowego, a względna słabość mieszczaństwa w sejmie na mocy konstytucyj, układanych bez udziału jego przedstawicieli, zmusza je do oddziaływania na opinię ogółu i wywieranie przez nią nacisku na rząd. Społeczeństwo przekształca się również. Szybkie a niemal zupełne przyjęcie się kodeksu Napoleona, układanego na zasadzie stosunków francuskich i opartego na przewadze gospodarstwa towarowego nad naturalnem, dowodzi, że stosunki u nas nie różniły się tak bardzo od francuskich.

O postępowości warunków społecznych świadczy zresztą charakter konstytucyj 1807 i 1815 r., stosowanych, bądź co bądź, do potrzeb kraju z wyrobionym już stanem trzecim. Mieszczaństwu zaś dawało coraz poważniejsze znaczenie jego stanowisko ekonomiczne, zgromadzenie w kraju bogactw i podniesienia go pod względem gospodarczym o tyle, że mógł przetrzymać niesłychany ciężar militarny Księstwa Warszawskiego, szereg długotrwałych i zaciętych wojen i wreszcie wyjść obronną ręką z okropnego kryzysu i pogromu w r. 1830—31 i następnych.

Rewolucya 1830 r. miała pod względem ekonomicznym straszne skutki dla Królestwa. Kraj, wyczerpany długą wojną, zrujnowany finansowo, z ludnością dziesiątkowaną przez cholerę i straszny głód, musiał zapłacić 22½ miliona rubli kontrybucyi, utrzymać na swoim koszcie stutysięczną armię, fortece i przyjąć nadzwyczaj niekorzystne warunki polityki celnej. Ustawa celna z 24 listopada 1831 r., na zasadzie której wyroby Królestwa musiały płacić cła wysokie, dochodzące do 10 i 15% wartości towaru, wyroby zaś rosyjskie przywożone były do Królestwa według dawnej liberalnej taryfy celnej z 1822 r., miała niesłychanie przykre następstwa dla handlu wywozowego Królestwa. Roczna wartość wywozu 2,768,000 rb. w 1829 roku spadła w ciągu lat 7 do 691,000 rb. w 1836 roku, wzrósł zato przywóz z Cesarstwa, już w 1834 r. przewyższający wywóz z Królestwa 3,7 razy.

Wogóle do czasu zniesienia granicy celnej, t. j. w ciągu lat 17 (1834—50), Cesarstwo otrzymało z Królestwa 38,517,000 rubli, z czego 17,460,000 za towary, resztę zaś, tj. 55%, stanowiła gotówka lub walory.

Przemysł Królestwa, wstrzymany chwilowo w swym rozwoju, przychodzi jednak względnie szybko do siebie i rozwija się dalej. Ośrodek przemysłu bawełnianego, Łódź, licząca w 1827 r. 2,843 mieszkańców, wyrasta w r. 1840 na miasto dwudziestotysięczne. W tym samym okresie przemysł Królestwa, dotąd przeważnie rękodzielniczy, przekształca się w maszynowo-fabryczny. Wprowadzenie maszyn odbija się wyraźnie na cyfrach ogólnej wartości produkcyi rocznej w Królestwie.

---

blach *asygnacyjnych* (27—28 kop.) i zestawiwszy ją z ceną rocznej produkcyi sukna w Królestwie, p. L. wyraża pieniądze polskie w rublach *metalowych* i przychodzi do wniosku, że nietylko cała produkcya sukna w Królestwie szła do Cesarstwa, ale jeszcze zorganizowaną została milionowa kontrabanda sukna zagranicznego przez Królestwo. Że taryfa 1822 roku była dla stron obu korzystną, dowodzi wzrost handlu Królestwa z Cesarstwem za przeciąg lat 7 (1822—29). Wywóz z Królestwa do Rosyi wzrósł o 203%, przywóz zaś z Cesarstwa o 411% (*Naucz. Obozr.*, Kwiecień str. 38). Ówczesny zresztą rosyjski minister finansów Kankrin, wybitny protekcyonista, nie był bynajmniej skłonny do czynienia ulg ekonomicznych Królestwu, a nawet prowadził zaciętą przeciwko niemu kampanię, w której, jak wykazał prof. Askenazy, Królestwo zawdzięczało ocalenie jedynie zaufaniu osobistemu Monarchy do ministra skarbu Lubeckiego.

W 1845 roku wytwórczość roczna, według wykazu, sporządzonego z racyi wystawy rolniczo-przemysłowej, wynosi już 9,817,559 rb.; w roku 1857 — 21,278,552 rb.; w 1864 roku — 50,934,100 rb. Liczba robotników wzrasta również, wynosząc w wymienionych latach 46,397, 56,364 i 78,323. W samym tylko przemyśle przędzalniczym ilość wrzecion: z 7,300 w r. 1837, wzrosła do 116,200 w 1863 roku.

Zniesienie granicy celnej między Królestwem i Cesarstwem, które właśnie w tym czasie nastąpiło, odegrało przypuszczalnie pewną rolę w rozwoju przemysłu Królestwa, w każdym jednak razie nie tak doniosłą, jak chcą wszyscy niemal dotychczasowi historycy przemysłu, co zresztą widoczne jest przy zestawieniu przyrostu w przemyśle w okresie lat 1845—57 i z lat 57, 64. W pierwszych latach po zniesieniu granicy celnej przyrost nie jest większy, niż w drugim, krótszym i pełnym zamieszek krajowych, *roczny* zaś wzrost przemysłu w drugim —jest o wiele większy, niż w pierwszym. Zaznaczyć przytem należy, iż wywóz z Królestwa do Cesarstwa był skierowany przeważnie do gubernij litewskich i południowo-zachodnich, stanowiących oddawna naturalny rynek dla wyrobów Królestwa.

(D. n.).

J. Dąbrowski.

KRONIKA.

Pokoje szpitalne. Dr. Z. Kramsztyk przesłał nam rękopis swego odczytu w Towarzystwie hygienicznem na dowód, że sprawozdania gazet i oparte na nich nasze uwagi były nieścisłe i niesłuszne. Nieścisłość tę wszakże dostrzegliśmy tylko w jednym punkcie, mianowicie dr. Kramsztyk żądając zniesienia osobnych pokojów przy szpitalach, gdyż one: 1) zabierają miejsce i fundusze ludziom ubogim, 2) za pieniądze dobroczynne uniemożliwiają współzawodnictwo zakładom prywatnym i 3) wyzyskują lekarzy — zgadza się na osobne pomieszczenia dla nielicznych chorych niezamożnych, którym należy się odrobina wygody. Wobec tego sądzimy, że najprostszem wyjściem z obecnego położenia byłoby wymaganie od pragnących leczyć się w osobnych pokojach szpitalnych świadectw niezamożności i nieprzyjmowanie takich, którym stan majątkowy pozwala na opłacenie kosztów w prywatnych domach zdrowia. Występując z gorącą obroną praw ludności ubogiej, która utrzymuje szpitale z własnych opłat lub z zapisów dobroczynnych dla niej przeznaczonych, a nie znajduje w nich miejsca, zajętego przez pacyentów bogatych, dr. K. dotyka rzeczywiście punktu bardzo bolesnego; ale niepotrzebnie z tą krzywdą łączy zbyt przesadzoną krzywdę swego stanu. Pomimo całego szacunku, jaki mamy dla bezinteresowności i ofiarności wielu naszych lekarzy, nie możemy przyznać, ażeby szpitalni zajmowali swe posady przez „filantropię.“ Szpital bowiem daje im poważne stanowisko, rozwija ich praktykę, a nadewszystko pozwala zbierać bardzo cenny materyał obserwacyjny, wszędzie też jest celem bardzo natężonych zabiegów.

Wiadomości społeczne. Przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzona będzie, z udziałem przedstawicieli innych zarządów, komisya w celu zorganizowania giełd pracy, któreby pośredniczyły między pracodawcami a robotnikami rolnymi. Instytucya taka w Królestwie Polskiem mogłaby oddać wielkie usługi ludności, wychodzącej do Prus na zarobki, bez żadnej pewności, że znajdzie tam zajęcie i sumienną zapłatę. Giełdy pracy w guberniach południowych Cesarstwa miałyby za zadanie regulowanie napływu robotników z gubernij środkowych, którzy przybywają licznemi partyami i nie wiedzą, gdzie jest zapotrzebowanie na ich pracę.

— Wkrótce po ujawnieniu nadużyć z przesyłką ładunków na kolejach Nadwiślańskich wykryto nowe oszustwo, polegające na podstawianiu, na miejsce wysyłanych ładunków wartościowych — bezwartościowych, i wysyłaniu za przekazem pieniężnym przedmiotów cennych, które następnie ginęły w drodze, świadectwa zaś na przekaz pieniężny dyskontowano w bankach. Banda, zajmująca się temi operacyami, składała się z 6 urzędników kolejowych i 21 osób postronnych, Żydów. Herszt szajki zbiegł zawczasu i dotychczas go nie ujęto, a pozostali jego towarzysze skazani zostali wyrokiem sądu okręgowego radomskiego na więzienie od 8 miesięcy do 4 i pół lat, oraz pozbawienie praw i przywilejów.

— Śląska rada szkolna krajowa pozwoliła na dopełnienie klasą VIII gimnazyum polskiego w Cieszynie.

— Lwowska Rada miejska uchwaliła upoważnić swego prezydenta do uczestniczenia w charakterze urzędowym w obchodzie jubileuszowym Maryi Konopnickiej i złożenia jej hołdu imieniem miasta.

— Kongres przeciwko handlowi „żywym towarem,“ który obradował we Frankfurcie n. M., zakończył swe posiedzenia d. 9 b. m., postanawiając zebrać się za trzy lata w Paryżu. Uchwalił on między innemi, aby każdy komitet narodowy utworzył oddziały, które pozostawać mają w ścisłem porozumieniu z rządami krajowymi; w miejscach centralnych utworzone być mają biura informacyjne pracy, zależne od komitetu kierującego w Londynie, ten ostatni ma zorganizować we wszystkich innych krajach komitety narodowe lub wyszukać osoby zaufane i zapewnić im możność porozumiewania się z europejskimi konsulami i posłami.

— Prof. dr. Oskar Balzer mianowany został honorowym doktorem filozofii uniwersytetu lwowskiego.

Szkoły i wychowanie. Na zasadzie ogłoszonych przez ministeryum skarbu przepisów o egzaminach i świadectwach na prawo nauczania w szkołach handlowych, dokumenty te wydawać będzie wydział naukowy ministeryum skarbu po zdaniu przez kandydata specyalnych egzaminów przed komisyą egzaminacyjną i przynajmniej trzymiesięcznej praktyce pedagogicznej w jednej ze szkół handlowych. Pomieniona komisya egzaminacyjna utworzona będzie przy wydziale naukowym ministeryum skarbu w Petersbugu, wszelako za zezwoleniem ministra mogą, w razie potrzeby, być organizowane takie komisye egzaminacyjne i w innych miastach przy zakładach naukowych ministeryum skarbu, jako to: szkołach handlowych lub instytutach politechnicznych. Egzaminy odbywać się będą dwa razy do roku, we wrześniu i w grudniu, mogą być jednak wyznaczane i na kwiecień lub maj. Do egzaminów tych dopuszczani będą mężczyźni, mający nie mniej, jak lat 21, i kobiety — od lat 18, świadectwa zaś wydawane będą wychowańcom zakładów naukowych wyższych i średnich, a jedynie w razach wyjątkowych, tym, którzy nie skończyli całkowicie szkoły średniej.

— Z zapisu Anieli Zawidzkiej przyznane zostaną w r. b. stypendya dla studentów uniwersytetu warszawskiego, katolików, pochodzenia polskiego. Podania przyjmuje komitet Tow. kred. ziemskiego w Warszawie.

— Wydane zostało rozporządzenie, ażeby zarządzający szkołami rzemieślniczemi wybierani byli z pomiędzy osób, kończących szkoły techniczne lub rzemieślnicze z pięcioletnim kursem, lub posiadający tytuł nauczyciela szkoły powiatowej lub miejskiej. Na posady majstrów-techników mianowani być mają kandydaci, kończący szkoły rzemieślnicze z tytułem majstra i posiadający nie mniej, niż pięć lat praktyki w danej specyalności rzemieślniczej. Zarządzający szkołami rzemieślniczemi i majstrowie-technicy zatwierdzani są przez kuratora okręgu naukowego.

Hakata. Sąd państwowy w Berlinie potwierdził wyrok skazujący redaktorów *Gazety Robotniczej* w Katowicach p. Morawskiego i panią dr. Esterę Golde na więzienie, pierwszego na dwa lata, drugą na rok. Skazani pozostają już od kilku miesięcy w więzieniu, lecz czas ten nie ma im być wliczony do wyznaczonej kary. Dodać należy, iż w Prusach niema osobnych więzień dla „politycznych,“ którzy traktowani są na równi z pospolitymi zbrodniarzami i przestępcami.

Literatura i prasa. We Lwowie wychodzić będzie, pod redakcyą M. Petryckiego, rusiński tygodnik polityczny narodowo-demokratyczny p. t. *Hajdamaki.*

Ruch kobiecy. Według danych statystycznych departamentu spraw wewnętrznych w Waszyngtonie, Ameryka posiada wśród kobiet: 3405 listonoszów, 1009 adwokatek, 7399 doktorek, 787 dentystek, 2193 dziennikarek, 1040 budowniczych, 946 podróżujących agentek handlowych, 409 elektrotechniczek, 45 maszynistek na kolejach, 51 ogrodniczek, zajmujących się hodowlą jabłek, 1320 strzelców zawodowych, 190 utrzymujących remizy, 91 woźnych, 324 przedsiebiorczyń pogrzebowych itd.

Poczta. Zatwierdzone zostały przepisy o przyjmowaniu i wydawaniu korenspondencyi rekomendowanej na stacyach kolejowych.

Zdrowie publiczne. Jokohama uznaną została za dotkniętą przez dżumę.

— Od d. 11 do października zdarzyło się w Odesie 7 nowych zasłabnięć na dżumę.

— W Palestynie szerzy się cholera.

Wiadomości ekonomiczne. Zawiązane zostało w Warszawie stowarzyszenie wytwórców masła. Nowy ten związek mieścić się będzie w istniejącym już od kilku lat sklepie sekcyi handlowej mińskiego Tow. rolniczego. Stowarzyszeni zobowiązali się dostarczać ze swoich gospodarstw około 30,000 pudów tego produktu.

— Minister rolnictwa i dóbr państwa nakazał zamknąć dla prywatnej eksploatacyi górniczej lasy w Skierniewicach i Spale.

Koleje i komunikacye. W celu dostarczenia kolejom odpowiednio uzdolnionych majstrów, ministrowi komunikacyj udzielono prawa zakładania na kolejach specyalnych kursów dla praktykantów rzemieślniczych na zasadach następujących: 1) kursy kolejowe mają kształcić praktykantów rzemieślniczych w zakresie obranej specyalności; 2) kursy te pozostają pod zawiadywaniem wydziału naukowego ministeryum komunikacyj; 3) będą one zakładane przy głównych warsztatach kolejowych i depo; 4) zakładać je mają i utrzymywać same koleje; 5) na naukę przyjmowani będą młodzieńcy, umiejący czytać i pisać, w wieku od 14 do 18 lat; 6) wykładane na nich będą: religia, język rosyjski, historya ojczysta, arytmetyka, geometrya, rysunki, kreślenie i początkowe wiadomości z technologii; 7) kurs trwać będzie dwa lata; 8) nauka bezpłatna; 9) przy kursach mają być urządzone internaty, utrzymywane z ofiar prywatnych oraz ze strąceń z zarobków wychowańców lub ich rodziców.

Zmarli Artur Bucheron (Saint Genest) publicysta i powieściopisarz francuski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Dobrowolskiemu. „Sad i ogród owocowy“ E. Jankowskiego; w każdym zeszytą podręcznika ogrodniczym znajdzie Sz. Pan potrzebne wskazówki.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 4 Октября 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.